

**ELIZA**

**ORZESZKOWA**

DWA BIEGUNY

Eliza Orzeszkowa

**Dwa bieguny**

«Public Domain»

## **Orzeszkowa E.**

Dwa bieguny / E. Orzeszkowa — «Public Domain»,

Skrząca się złośliwością satyra na wyrafinowane i postępowe elity intelektualne, które tracą kontakt z rzeczywistością. Perełka o niezwyklej aktualności. Rzecz w prozie Orzeszkowej o tyle wyjątkowa, że faktycznie zabawna. Autorka chłaskuje wielkomięską inteligencją ironią subtelną, ale celną. Przypomina przy tym, jak niewiele się w gruncie rzeczy zmienia. Dziś również spieramy się o teorię ewolucji, emocje wywołują feministki (wówczas zwane emancypantkami) i tak samo jak wtedy życie elit odległe jest o całe lata świetlne od życia i przekonań mas. Eliza Orzeszkowa jest jedną z najważniejszych pisarek polskich epoki pozytywizmu. Jej utwory cechuje ogromne wyczucie problemów społecznych — w mowie pogrzebowej Józef Kotarbiński nazwał ją wręcz „czującym sercem epoki”.

© Orzeszkowa E.

© Public Domain

# Содержание

I	6
II	22
Конец ознакомительного фрагмента.	33

# Eliza Orzeszkowa

## Dwa bieguny

– „Jestem z rodu aniołów; czy chcesz stać się do mnie podobnym?”  
– „Widzę twoją moc i piękność; ale wskazujesz mi rzeczy, przewyższające  
moje siły, chociaż nie przewyższające mojego pojęcia”.

(Byron, Kain)

## I

Utrzymujesz tedy, kochanku, że człowiek, który przed chwilą ztąd odszedł, jest dzikim... jak powiedziałaś? Buszmanem? a tak, buszmanem, bo miał na sobie surdut, przypominający epokę pradziadowską i głośno przyznał się, że jak żyje nie był na żadnym raucie, nie jadł ostryg i nie tańczył kotyljona. No, istotnie, na rautach nie bywać, smaku mięczaków nie znać i nie posiadać o kotyljonie nocyj najlżejszych, to jest coś nadzwyczajnie dziwnego, coś, co najzupełniej dowodzi, że człowiek ten jest dzikim, a zmusza do zastanawiania się nad tem, jakim sposobem wplątał się on pośród nas ucywilizowanych, tak doskonale ucywilizowanych, że nie mówiąc już o surdutach, rautach, kotyljonach i mięczakach, znamy się wybornie na chińszczyźnie, japońszczyźnie, kokotach, flircie, na kamieniach żółciowych, starej porcelanie, sporcie, wincie, katarach wszelkich rodzajów, pesymizmie, *fin de siècle'u* i teorii gremjalnego samobójstwa ludzkości. Tak, tak; jakim sposobem ta naiwność i pierwotność zdołała wplątać się pomiędzy naszą zawikłaność i subtelność?

Jednak, czy wiesz, kochanku, przychodzi mi do głowy wątpliwość pewna, ta mianowicie, czy człowiek, którego tak trafnie nazwałeś buszmanem, nie pochodzi wypadkiem – z puszczy. Bo widzisz, jeżeli pochodzi z puszczy... to, kto wie? czy nie posiada pewnego specjalnego gatunku cywilizacji, że tak powiem, puszczonej, i, czy nie należałoby, ot tak, dla ciekawości, przypatrzeć się mu zblizka? Bywa niekiedy, że puszcze przysyłają wielkim miastom egzemplarze ludzkie bardzo zabawne, po których jednak przemknięciu, czujemy woń żywicy i tęsknotę ku mlecznym drogom. Żywica zaś, jak wiesz zapewne, leczy i rozszerza płuca, a mleczne drogi, to wedle poetów szlaki nadziei, rozciągnięte nad ciemnym przestworzem, dlatego, aby ludzie nie wierzyli w wieczne trwanie ciemności i mieli odwagę żyć do rana... Otóż i wpadłem w liryzm! Zawsze mi się to przytrafia, ilekroć przypomnę sobie tę kobietę... Ach, była to także buszmana! Ale, czy czujesz zapach sosnowego boru, mięty, macierzanki, pola świeżo wzruszonego pługiem? Czy nie zdaje ci się, że w ciemnym przestworzu szlak drżącej światłości pomyka kędyś, wysoko daleko?

Było to dość niedawno i bardzo dawno temu, bo czas jest rzeczą zupełnie względną i dwadzieścia kilka lat nie wystarcza, aby w zwykłym porządku rzeczy zaprowadzić młodzieńca do grobu, ale zupełnie wystarcza, aby mu dać uczuć jego bliskość i konieczność; gdy zaś raz to uczucie w nas powstanie, Boże wielki! ileż rzeczy przedstawia się nam we wcale innym, aniżeli przedtem oświetleniu. Nie uwierzysz, kochanku, jakie dziwolągi wyprawia przed oczyma ludzkiemi światło z doświadczeń życia i z bliskości grobu bijące. Sprowadza ono w dziedzinie idei, zarówno jak ludzkości, przewroty szczególne: królowny przemienia na pokojówki, kopciuszki na księżniczki.

Było to tedy przed dwudziestu kilku laty. Stryj twój, który w tej chwili z siwiejącą czupryną i ociążałą figurą, opowiadać ci zaczyna tę historję, był podówczas młodzieńcem, od lat kilku wyemancypowanym z pod feruły szkolnej i wszelkiej innej, a w szkole życia bynajmniej nie nowicjuszem. *Oh, loin de là!* Miałem już za sobą kilka lat egzercycji w sztuce uprzyjemniania życia sobie i innym; a tak, nietylko sobie, ale i innym także, bo przyjemność podzielona, jest dopiero prawdziwą przyjemnością. Spodziewam się, że w obecnej powierzchowności mojej spostrzegasz jeszcze ślady tego, że byłem przystojnym, *hélas*, ślady tylko, ale nie wyobrazisz sobie jaką niezmierną wagę, w pewnym okresie życia, mają dla nas wszelkie ślady! Taką wagę one mają, że niekiedy oddalibyśmy resztę życia za to, aby były nieco innymi. Byłem także doskonale ucywilizowanym, co nie pozwalało mi zagrzebywać się na wsi i budziło we mnie cały rząd potrzeb nieprzepartych, którym zadośćuczynić mógł tylko kilkomiesięczny co roku pobyt w wielkim mieście. Część pozostałych miesięcy upływała mi w ładnym majątku, którego byłem wyłącznym i niezależnym posiadaczem, a część w podrózach, bo wiesz sam, że podróżowanie należy do cech niejako pierworodnych i potrzeb zupełnie nieprzepartych człowieka kompletnie ucywilizowanego.

Miałem przyjaciół i towarzyszków z umysłami i charakterami rozmaitemi, niemniej ze stron wielu do siebie wzajem i do mnie podobnych, co zresztą jest naturalnem pomiędzy ludźmi

jednostajnego pochodzenia, urodzenia i wychowania. Mogę ci zaręczyć, że wszyscy razem nie stanowiliśmy kupy łotrów, ani głupców, owszem, wcale nieźli i roztropni, a już najpewniej bardzo przyjemni byli z nas chłopcy. Serca nasze nie były zbyt twardo opancerzonymi przeciw cierpieniom współbraci, nad którymi umieliśmy się litować najczęściej wprawdzie w sposób bierny, czasem jednak i czynny, bo sięgnięcie do kieszeni po portmonetkę nie jest przecież czym innym jak tylko czynem, a w głowach naszych mieściło się sporo oświaty, zdobytej na ławach szkolnych i uniwersyteckich, zaczerpniętej też z kilku literatur, których byliśmy, jak na amatorów, znawcami dość biegłymi. Nie należy też wyobrażać sobie, abyśmy dni i noce trawili na uciechach do dziedziny zoologii należących. Bywało tam niekiedy to i owo w tym rodzaju, lecz zawsze pozostawiało w nas niesmak i niezadowolenie z samych siebie. Na ogół, zwierzęce instynkty przytłumiał w nas pewien gatunek wrodzonego może idealizmu, a daleko więcej i pewniej smak dobry, przez estetyczne otoczenie i artystyczne zamiłowania wykształcony. Kiedy się jest znawcą i miłośnikiem pięknych obrazów, niechętnie czyni się z samego siebie obraz szpetny. Zналиśmy się na obrazach, poezji, powieściach, odrobineczkę nawet na architekturze, ale pierwsze miejsce w upodobaniach naszych tego rzędu zajmowała muzyka. Przepadaliśmy też poprostu za scenicznymi przedstawicielkami tej sztuki i sztuk jej pokrewnych, co przyznaj, że ze względu na pierwotne źródło, należy do najszlachetniejszych odmian erotyzmu. Czytywaliśmy dzienniki i z nich przedewszystkiem czerpaliśmy wiadomości i wyobrażenia o bieżących pojęciach filozoficznych, społecznych, naukowych, tak, że i pod tym względem nikt sprawiedliwy obskurantyzmu zarzuciłby nam nie mógł, owszem, byliśmy bardzo zdolni do poważnej, albo, wedle okoliczności, dowcipnej rozmowy o takich np. ideach, jak modna podówczas i roznamiętniająca umysły darwinowska teoria ewolucji gatunków, emancypacja kobiet i t. p. Szczególniej na kanwie tej ostatniej haftowaliśmy z przyjemnością różne esy i floresy. Była to prawdziwa arena popisów dla dowcipu, który wytwornymi drwinami z tej idei towarzystwo bawił i dla wspaniałomyślności, pod której natchnieniem z rycerską galanterją ofiarowywaliśmy się spełnić życzenia płci słabej i pięknej. Co do pojęć i dążeń już nie ogólnoludzkich, ale własne społeczeństwo na celu mających, wiedziliśmy bardzo dobrze, iż jesteśmy pokoleniem, które na drogę życia wstępuje w dniu feralnym, i zasmucało to nas niewątpliwie, lecz aby ta feralność specjalnie na nas wpływać miała, aby wynikała z niej dla nas potrzeba, czy powinność jakiej metamorfozy, to nam poprostu do głowy nie przychodziło. Byliśmy takimi, jakimi we wszystkich ucywilizowanych krajach byli młodzieńcy takiego, jak nasze, urodzenia i wychowania, i gdyby ktokolwiek powiedział nam, że innymi być powinniśmy, albo możemy, rozśmieszyłby nas serdecznie. Wolelibyśmy zapewne, aby pogoda była jaśniejszą, byliśmy nawet zdolni dokonać dla poprawienia się pogody niejednej ciężkiej albo i bohaterskiej ofiary, gdyby entuzjazm nasz został w tym kierunku rozbudzony... bo nie pozwalałam tobie i nikomu wątpić o tem, że posiadaliśmy w sobie z krwią ojców odziedziczoną zdolność do świętego i na bohaterskie ofiary umiającego zdobywać się entuzjazmu. Ale entuzjazmy mają to do siebie, że potrzebują być rozbudzaniem, że zaś naszego nic w chwili owej nie rozbudzało, więc drzemał, a myśmy nie potrzebowali nawet rezygnować się na to, o czem normalnie przez długie dni i tygodnie zapominaliśmy najzupełniej. Cóż? młodość, dostatek, natura ludzka, wielkie miasto, doskonałe ucywilizowanie i t. d. i t. d., wszystko to złożyło się na uczynienie z nas grupy chłopców miłych, oświeconych, dość moralnych, zupełnie estetycznych, którzy u początku dnia feralnego, ani myśląc o wpatrywaniu się w jego głębie, przepędzali czas bardzo wesoło i przyjemnie.

Ach, mój kochany, gdy młodość przeminie, ze wszystkich przyjemności, któremi nas ona w połączeniu z dostatkiem i oświatą obdarzała, tą, którą człowiek dość moralny i zupełnie estetyczny wspomina najczulej, najtęskniej, jest flirt. Byłem zapalonym wielbicielem i praktykantem tej odmiany erotyzmu, której z żadnego punktu nic zarzucić niepodobna, bo zawiera w sobie zarówno pierwiastki piękna, jak niewinności i użyteczności. Sam wiesz bardzo dobrze czem jest flirt, ale jako starszy doświadczeniem, mogę do wiedzy twojej dorzucić parę okruszków. Przedewszystkiem, flirt jest dla zebrań towarzyskich tem, czem są trufle dla sosów, wanilja dla kremów. Bez niego,

przerobiłyby się one na posiedzenia pedantów, dyskutujących z błękitnymi pończochami o pokładach antydiluwjalnych i monetach bitych za czasów króla Assurdababela. Prostu, przechodzi to moje pojęcie, w jaki sposób przyjemni panowie i pełne wdzięku panie przestawałyby z sobą mogli, gdyby nie było flirtu. Następnie, ma on tę dobrą stronę, że nietylko nie szerzy w świecie pożarów miłości, ale owszem, przez rozdrabnianie jej na dawki minimalne, dąży do zupełnego znihilizowania jej wpływów na organizmy ludzkie. A nie jestże to widocznym awantazem dla świata, jeśli z powierzchni jego znikają stopniowo gminne gruchania turkawek i niebezpieczne płomienie wulkanów? Nakoniec, flirt to uczy zastosowywania jednej z najważniejszych reguł cywilizacji, którą jest, że wszystko czynić można, byleby czynić pięknie, i wytwarza znaczną sumę rozkoszy, oczyszczonej z najdrobniejszych atomów odpowiedzialności; bo, jeśli w pewnej ilości wypadków napaja duchy pierwiastkami wartości wątpliwej, ciała natomiast zawsze i całkowicie niewinnymi pozostawia – a o to tylko idzie!

W porze, o której mówimy, w kółku towarzyskim, do którego należałem, mistrzynią flirtu, prawdziwie poświęconą jego kapłanką była kuzynka moja, Idalja, w której domu spotkałem tę dziką...

Był to u kuzynki Idalji, albo poprostu, jak od dzieciństwa ją nazywałem, u Idalki, *jours fixe*, mniej więcej podobny do wszystkich przeszłych i terażniejszych *jours fix'ów*, ale bardzo ładny. Jeszcze jedna mała dygresja. Te *jours fix'y* są rzeczą niezmiernie pożyteczną i przyjemną, zwłaszcza jeżeli odbywają się u kobiety pod każdym względem uzdolnionej do zadania, którego trudności bynajmniej lekceważyć nie należy, bo wymaga ono wielu odpowiednich przymiotów umysłu i charakteru, jak np. dowcipu, żywej wyobraźni, niestrudzonej pracowitości, heroicznego znoszenia cierpień fizycznych i moralnych, które z *jours fix'ami* nieszczęśliwie zbiegać się mogą i t. d. i. t. d. Jeżeli gospodynie domu w dostatecznej dozie przymioty te posiadają, ich *jours fix'y* mogą być nadzwyczaj użytecznymi, bo w pewien sposób zaproszeń na nie zaopatrzony, nie potrzebujesz suszyć sobie głowy nad sposobami zabicia czasu, ani zabijać go w sposób benedyktyński lub zoologiczny, co przedstawia dwie ostateczności, których, jak wszelkich ostateczności, człowiek pewnej sfery towarzyskiej i pewnej skali cywilizacyjnej uniknąć woli. Tutaj, trochę muzyki, trochę deklamacji, trochę flirtu, czasem *une petite sauterie*, czasem niedługi występ *d'un grand*, albo *d'une grande artiste*, przeważnie zaś rozmowa, taka rozmowa, któraby w najmniejszym stopniu umysłów nie zużyła, w najpoważniejszych nawet fazach swoich nie przestawała być lekką, ozdobną i broń Boże, nie przerywała się ani na trzy minuty. To ostatnie jest bardzo ważnem. Sekunda przzerwania się rozmowy i ogólnego milczenia, to nic jeszcze, minuta, to gruba przykrość dla gospodyni, ambaras dla gości, ale trzy minuty, to już cios, o którym ona z rumieńcem wstydu, a oni z sarkastycznymi uśmiechami długo wspominać będą. Trzeba koniecznie mówić, mówić, mówić, ze wszystkich wątków przecść nic rozmowy gładziutką, błyszczącą, czepiającą się wszystkiego co na niebie i ziemi istnieje, lecz do niczego nie przyczepiającą się ani silnie, ani długo. Zresztą, ubrania pań i panów powinny być zupełnie takimi, jakimi, wedle panującej mody, być powinny, i jeżeli moda dyktuje podawanie wieszki zimnej, trzeba podawać zimną, jeżeli gorącą, to gorącą, jeżeli *petit four'ów*, to *petit four'y*, a jeżeli kanapek to kanapki. I wszystko. Zdaje się, bagatela, jednak, mój kochany, jest to praca, mnóstwo sił zużywająca, ale w tym wypadku pewniej, niż w każdym innym twierdzić można, że są to siły zużywane dobrze.

Spóźniłem się nieco, umyślnie dlatego, aby oczekiwaniem podręczyć trochę Idalkę, z którą od kilku tygodni zawzięcie flirtowałem. Znaliśmy się od dzieciństwa i łączyła nas zawsze tylko pocziwa przyjaźń, ale wtedy właśnie, niespodziewanie, uczułem dla niej coś takiego... jakże to powiedzieć? No, coś takiego... że gdybyśmy byli jaskiniowcami, z ochotą porwałbym ją razy parę w objęcia i z równą ochotą zwróciłbym prawnemu posiadaczowi... który zresztą od paru tygodni był nieobecnym, oddając się kędyś łowieckim trudom i uciechom. Że jednak odeszliśmy od jaskiniowców na odległość nieskończoną, więc czyn powyższy rozdrobniłem na okruszyny tak minimalne i wytworne, że pomimo wszystko, co działo się w naszych słowach, spojrzeniach, nerwach, wyobraźni, oboje mieliśmy prawo wysoko nosić przed światem czoła niewinne.

Salon, jak salon, opisywać ci go nie będę, bo najprzód, masz podobne u swojej matki, siostry, przyjaciółki, kuzynki etc., a następnie, weź do ręki pierwszą lepszą powieść francuzką, a znajdziesz w niej takie opisy salonów, którym proste słowa moje dorównać nie zdołają. Wiele światła i kwiatów, trochę złocen i malowideł, tu i owdzie draperje z ciężkich materyj, meble, mebelki, parawaniki, ekrany, albumy, figurynki, *que sais-je?* fraszki i fatałaszkki, ale ładne i stanowiące gustowną całość, dokoła zaś lampy, na chińskim postumencie osadzonej, *rond*, złożone ze dwudziestu może osób, siedzących na fotelach, pufach, taburetach, a pośrodku Idalka, cała w wilczych głowach, na czarodziejskim kołowrotku przedzająca nić rozmowy. Pytasz się: jakto w wilczych głowach? A no tak, że zimy owej modne były materje, których tło jaskrawe usiane było głowami wilczemi. Na tle paśowem, wilcze głowy, jak żywe, zęby szczerzą, zda się uszami strzygą, a ślepiami świecą. Wchodząc do salonu, pomyślałem: wilcze głowy! wszystko dobrze! jest w nastroju sentymentalnym i ubierając się myślała o mnie! Właśnie więc dlatego, iż miałem dowód, że myślała o mnie, z wyrafinowanym chłodem dotknąłem, przy powitaniu, białych jej paluszków i niezmiernie obojętne spojrzenie przesunąłem po jej drobnej, różowej twarzy, ocienionej lasem złotych loczków. Wyraz niezadowolenia, który przemknął w błękitnych jej źrenicach, sprawił mi przyjemność. Jej kokieterja była obrażoną, moja próżność zadowoloną. Odszedłem nieco na stronę i z kilku przyjaciółmi, prawie pośrodku salonu stanawszy, począłem lustrować zebrane dokoła lampy towarzystwo. Wszyscy znajomi. Józio z ręką zarzuconą na poręcz fantazyjnego krzeselka i pani Oktawja, siedząca na pufie, toczą wieczną swoją dyskusję nad zagadnieniem: dlaczego mężczyźni oświadczają się kobietom, nie zaś kobiety mężczyznom; Stefan, tak żywo i dowcipnie, jak tylko on umie, opowiada paniom Helenie i Marji treść nowej i głośniejszej powieści francuzkiej; Leon, Karol, panna Zofja i jeszcze ktoś czwarty spierają się o to: który taniec jest przyjemniejszym, walc czy kontredans, i o to jeszcze, czy *lansier* rychło wyjdzie z użycia, albo nierychło; dalej odosobniona nieco para, dobrze mi zresztą znana, półgłosem rozmawia po angielsku; Idalka króluje nad dziesięciu przynajmniej osobami, którym opowiada wrażenia, dziś na wystawie sztuk pięknych doznane, przyczem wyplata o malarstwie i rzeźbie najpociesniejsze brednie, byleby rozmowę ożywić i innych do mówienia wyzwać. Sama wie o tem, że wygaduje rzeczy niestworzone, ale inni jej zaprzeczają, ktoś utrzymuje, że ona jest paradoksalną, co jej się bardzo podoba, zawiązuje się lekka, lecz żywa dyskusja, rozmowa nie przerywa się ani na sekundę, a jej właśnie tego tylko potrzeba. Pomimo ożywienia, z którym prawi o obrazach i statuach swoje paradoksy – czuje się zaniepokojoną tem, że ja usunąłem się na stronę i pozornie wcale na nią uwagi nie zwracam, a ilekroć szybkie jak błyskawica spojrzenie rzuca w moją stronę, zawsze w oczach jej przeleci iskra i na piersi silniej zadrgają wilcze głowy. Ani na sekundę przecież nie wypuszcza z paluszków czarodziejskiej nici i przedzie ją nawet coraz żwawiej, coraz świetniej, z malarstwa i rzeźby na poezję, jak motyl z róży na różę przelatując. Zresztą, u początku wieczoru nikt jeszcze nie miał czasu znudzić się i wszyscy bawią się bardzo dobrze; oczy pobłyskują, usta uśmiechają się albo i śmieją, dowcipne słowa jak świetne rakiety przelatują w rozgrzewającej się coraz atmosferze, daleko cichszy sentyment kiedy niekiedy przepłynie po zadumanych na chwilkę źrenicach, lub zadrga w szczególnej intonacji głosu, w rozmowę stale po polsku prowadzoną, niby muchy w pajęczynie, wpadają słowa francuzkie, od odosobnionej nieco pary zalatują też niekiedy i angielskie, Józio, dla pani Heleny i dla kilku pań innych poprawną włoszczyzną deklamuje strofę Petrarcki... Ja, z szapoklakiem pod ramieniem, stojąc ciągle z paru przyjaciółmi na stronie i prowadząc z nimi półgłosną rozmowę, bawię się wybornie widocznem dla mnie, ale tylko dla mnie podrażnieniem Idalki, które zaczyna wyrastać w gniew. Jaka to będzie za parę godzin zgoda! Jaka to będzie boska zgoda!

Wtem, pomiędzy wilczemi głowami i złotą fryzurą Idalki, a suknią w liljowe djagonale i koronkowym motylem uskrzydlałym włosy pani Oktawji, spostrzegłem jakiś punkt ciemny, który dotąd za próżnię brać musiałem, bom go wcale nie zauważyłem, a który okazał się – młodą kobietą. Nic dziwnego, że jej odrazu nie zauważyłem, bo była tak zaćmioną przez swoje sąsiadki, jak lampka przez słońce. Siedziała przytem na krzeselku, tuż do ściany i do rogu kanapy przysunąłem, w roli tak

zupełnie biernej, że możnaby ją poczytać za ornament salonu nieżyjący i przeniesiony z innego świata i wieku. Była tak absolutnie do otaczających niepodobną, że to właśnie przykuło do niej moją uwagę. Młoda, to pewno, lat 23 lub 24 najwięcej; czy ładna? Prędzej tak, niż nie, bo chociaż całość doskonałą nie jest, ale szczegóły są piękne, i gdyby je odpowiednie ubranie i jakiegokolwiek ożywienie podnosiło, mogłyby ją uczynić bardzo powabną. Ładny typ wysmukłej szatynki z cerą białą i bez rumieńców, z czołem niskim a szerokim, z dużymi oczyma, z bardzo pięknie wykrojonemi i zabarwionemi usty. Ale była zupełnie nieubraną, tak dalece nieubraną, że nie mogłem narazie zdać sobie sprawy, do jakiej sfery towarzyskiej należeć może. Zimy owej panowała moda bardzo krótkich staników u sukien, jasnych ich barw i ciasnego spętania około nóg i bioder. Koafiury znowu składały się powszechnie z misternych koków z tyłu głowy, a lasu i nawet, jeżeli podobna, puszczy loczków u wierzchu jej i z przodu. U niej ani śladu tego wszystkiego. Ciemno-kasztanowate włosy, jak u pensjonarki gładko uczesane, jednym, grubym warkoczem zwijały się wysoko u wierzchu czaszki, zlewając się w ciemną całość ze stanikiem czarnym, gładkim, tak długim, jak mu sam Pan Bóg być przykazał, aż do kłębów sięgającym, wtedy gdy u innych długość jego kończyła się wcale niewiele poniżej ramion. Zresztą biały rąbek kołnierzyka, spięty jakąś dużą broszą, białe rąbki mankietów u rąk, spokojnie na kolanach splecionych. Usta jej, płonące poprostu barwą koralu, zamykała pieczęć doskonałego milczenia, a oczy duże, z pod niskiego i szerokiego czoła, wodziły po obecnych spojrzenie zamysłone, uważne, chwilami głęboko, ale to głęboko zadziwione. To zadziwienie było pierwszą rzeczą, która w wyrazie jej twarzy uderzyła mnie i razem ze szczególniejszym ubiorem rozśmieszyła. Ot ta, to już zupełnie i aż nadto oryginalna! Zkąd Idalka zdobyła sobie tego dziwoląga? Kto to taki być może? Pochylony ku stojącemu obok mnie Stasiowi i oczami wskazując nieznajomą, szepnąłem:

– Czy nie wiesz, kto to?

Równie pocichu odpowiedział:

– Jakaś panna Seweryna, nazwiska nie pamiętam...

– Guwernantka?

– Nie, herytjera.

– Cnoty prababek?

– I pięknych dóbr także... gdzieś tam...

– E, więc kwakierka?

– Może.

– Zkąd Idalka ją wypisała?

– Z puszczy.

Zaśmieliśmy się, a w tejże chwili na twarzy nieznajomej, wciąż z natężoną uwagą słuchającej otaczających rozmów, odmalowało się takie już zdziwienie, iż zdawać się mogło, że oczom i uszom swoim nie dowierza, że zaraz uszczypnie się za ramię, aby nabyć przeświadczenie o tem, czy spi, albo czuwa.

– Czego ona tak dziwi się? – szepnąłem do Stasia.

– Ehe! Żeby cię kto tak przeniósł nagle z pośród ludzi pomiędzy żubry?... pomyśl tylko!

Zaśmieliśmy się znowu.

W tej chwili do salonu wchodzili goście nowi: Bronek Widzki, wcale utalentowany poeta, będący zarazem redaktorem „Poranku” i bardzo miłym, wesołym chłopcem, z Adamem Ilskim, którego malarska sława dotąd przetrwała, a który był wtedy dobrze już podtatusiałym grubasem i od nas wszystkich cięższym wiwerem. Było to w guście Idalki zbierać u siebie *entre autres* pisarzy i artystów. Pozowała trochę na panią Tallien i zdawało się jej, że po równie burzliwej chwili, w równie krótkim staniku, obowiązkiem jej jest zaszczipać na gruncie swojskim epokę i ducha francuzkiego dyrektorjatu. Zresztą Widzki i Ilski należeli zupełnie do naszego towarzystwa: stosunki swoje z muzami zamykali w *sacro-sanctum* swoich serc i pracowni, a na scenie świata byli ludźmi przyzwoitymi, zupełnie takimi, jak wszyscy. W tej samej chwili roznoszono herbatę; Idalka, zajęta puszczaniem nowoprzybyłych gości na fale toczącej się rozmowy, zapomniała widać o przedstawieniu

ich pannie Sewerynie, a może przedstawienie to za niepotrzebne uważała, bo bywają czasem w towarzystwach takie intruzy, albo efemerydy, z którymi nikt się nie liczy i którym nikt nikogo nie przedstawia. Herytjera wprawdzie intruzem być nie może, o ile to jeszcze prawda, że ta jest herytjerą, ale efemerydą zostanie dla nas najpewniej, bo pomiędzy ludźmi czuje się tak zdepeizowaną, że wnet zapragnie coprędzej wrócić do żubrów... Pani Marja poetę ku sobie przywoływała.

– Panie Widzki, musi mi pan koniecznie opowiedzieć o wczorajszym raucie... Umieram z żalu, że na nim być nie mogłam...

Zaledwie nazwisko poety i redaktora wyszło z różowych ustek jednej z najprzyjemniejszych przyjaciółek Idalki, gdy wypadkiem spojrzawszy na nieznaną, ujrzałem na twarzy jej wyraz nowy i bardziej jeszcze od poprzedniego osobliwy. Przedtem dziwiła się, aż do osłupienia; teraz, coś ją ucieszyło, aż do wniebowzięcia. Była tak wzruszoną, że koralowe wargi jej drgnęły, a z oczu trysnęły snopy światła. *Ma foi!* wydała mi się w tej chwili zupełnie ładną. Puściłem wzrok w kierunku jej spojrzenia i przedstawiłem sobie, spostrzegłem, że przedmiotem, który obudził w niej to zachwycenie, to pełne ciekawości i czci wzruszenie – był nasz pocziwy, różowy, okrągły – Broniek Widzki! Ten karmelek – i te utkwione w niego oczy kobiece, zachwycone i wielbiące! Spostrzeżeniem swoim podzieliłam się ze Stasiem.

– Mój drogi – rzekł – ci poeci... zdaleka...

– Zwłaszcza dla mieszkank – puszcy!... Gdyby go zobaczyła u Stępka...

– Albo za kulisami...

– Olimpu...

Zaśmieliśmy się, lecz jednocześnie nieznaną powstała i zbyt pospiesznym ruchem filiżankę z herbatą na stole stawiając, ku Idalce przychyłona, dość głośno, abyśmy usłyszeć mogli, wymówiła:

– Moja Idalko, przedstaw mię panu Widzkiemu!

Tym razem, jakby ściany salonu spadły na nas ze Stasiem i na wszystkich, którzy szczególniejsze to odezwanie się usłyszeli. Ta dama żądała, aby ją temu mężczyźnie przedstawiono! *C'était renversant!* Kilka osób uśmiechnęło się, pani Oktawja, wielka śmieszka, zaśmiała się nawet dość głośno, czegobym jej w żadnej innej okoliczności nie pochwalił, ale co tym razem przebaczyłem tem łatwiej, że sam zwycięzko wprawdzie, lecz nie bez trudu, ze śmiechem walczyłem. Po twarzy Idalki przeleciał figlarny esik, ale była wytrawną gospodynią domu, więc natychmiast i najnaturalniej w świecie przemówiła:

– Pan Bronisław Widzki, panna Seweryna Zdrojowska, moja krewna.

Broniek z gracją porwał się z krzeselka, złożył przed nieznaną ukłon i orzuciwszy ją niezmiernie pobieżnym spojrzeniem, wrócił do rozmowy z panią Marją o raucie, a w szczególności o zagranicznej artystce, która go śpiewem swym uświetniła. Na kobietę, której przedstawiony został, nie zwrócił uwagi żadnej, zapewne, jak ja przed chwilą, wziąć ją musiał za guwernantkę. Ale dla mnie nazwisko jej i pokrewieństwo z Idalką, było promieniem światła. Wiedziałem coś o Zdrojowskich. Była to rodzina majątna, zamieszkała w głębokim prowincjonalnym zakątku, i o której zasłyszałem był coś ciekawego, nie pamiętałem dokładnie co... jakąś historję posępną, choć snadź pospolitą, skorom jej nie pamiętał. Panna Seweryna była tedy krewną, nietylko Idalki, lecz i moją, może daleką, zawsze przecież krewną. Nic dziwnego, często się nie zna dalekich krewnych, w odległych stronach zamieszkałych. Ale, oto, co znaczy głos krwi! Nie daremnie obserwowałem ją z takim zajęciem i pomimo, że śmiałem się z niej ze Stasiem, wydawała mi się zajmującą. Głos krwi! Teraz uwierzyłem, że może być herytjerą, bo nawet coraz wyraźniej przypominałem sobie coś zasłyszanego o jedynym jej bracie, młodym chłopcu, który zgasł kędyś... Nagle, szczególną grą wyobraźni, ujrzałem płomyk, który z przestworza spadł na rozłóg twardego śniegu i zgasł... Wiedziałem już dokładnie, co stało się z jej bratem. Spojrzałem na nią znowu. Patrzyła ciągle na Widzkiego i łatwo było dostrzedz, że chciwem uchem chwytająca każdy wyraz z ust jego wychodzący. Czego ona chciała, czego spodziewała się od tego autora ładnych wierszyków? Pewnie wymarzyła sobie w swojej puszczy ideał poety, wieszcząca, poświęconego kapłana muz, i dziwno jej teraz, że on z turkusowemi oczami niewinnego

pacholęcia i miękkimi gestami pulchniejącego smakosza, przyjemnie zresztą i zręcznie drwi z kwestji emancypacji kobiecej, której, w nawiasie mówiąc, redagowany przez niego „Poranek” jest wymownym poplecznikiem. Ale jakże można tego nie rozumieć? Redaguje się dziennik w takim a takim kierunku dlatego, aby zgrupować dokoła niego prenumeratorów z tym właśnie kierunkiem myślenia, a może zresztą i dlatego po części, że się jest naprawdę tak przekonany, ale nie do tego znowu stopnia i nie z tą siłą przekonany, aby dla przekonania wyrzec się paru dowcipów i zainteresowania kilku pań. Broniek był dowcipnym, znał to do siebie i ani myślał wyrzekać się tego towarzyskiego awantażu. „Poranek” swoją drogą, a przyjemność i zdobycze towarzyskie swoją. Ta kwakierka nie rozumie tego i ma coraz bardziej pozór kobiety dzikiej. Broniek cytuje komedję Fredry *Gwałtu co się dzieje* i przekomicznie pokazuje gestami, jak będzie kołysał dziecię i na drutach pończochę robił i jak jednocześnie małżonka jego bronić będzie przed sądem Rinalda, w którym naostatku zakocha się dlatego, że ma on włosy jak krucze pióra, oczy jak żuźle.

– I bary Atlasa... – dodaje gruby Ilski – którego dowcip jest znacznie od Bronkowego mniej poprawny.

– Panie Ilski! – z wyrzutem wykrzykują panie – a na dźwięk tego nazwiska panna Seweryna szeroko rozwarła i znowu promieniami nalane oczy w sławnego malarza wlepia. *Eh, ma foi!* szkoda tych oczu dla tego niewątpliwego artysty, który jednak połowę talentu swego utopił w kuflach piwa... Niech te śliczne, dzikie oczy, na mnie trochę popatrzają...

Zbliżyłem się do Idalki i poprosiłem, aby przedstawiła mi pannie Zdrojowskiej, czego ona dokonała z udaniem roztargnieniem, niby pochłonięta rozmową o demoralizującym wpływie, wywieranym na Francję przez chwalebnie podówczas panującego nad krajem tym Napoleona III. W gruncie rzeczy, wszelkie na świecie wpływy moralizujące i demoralizujące obchodziły ją tyle, co przeszłoroczne lato, ale podtrzymywała rozmowę wszystkimi narzędziami, jakie pod rękę popadały, to jedno, a mówiąc o polityce, której nie cierpiałem, chciała mi dokuczyć, to drugie. Nie osiągnęła celu. Owszem, jak prawdziwy amator lubowałem się mistrzostwem, z jakim w ciągu godziny potrafiła umieścić rozmowę na piętnastym przynajmniej z kolei punkcie. Ale ta różnorodność była już dla mnie monotonią, tak się z nią ciągle spotykałem. Usiadłem przy pannie Zdrojowskiej. To przynajmniej coś nowego. W czasie prezentacji, skłoniła mi się lekko i tak jak przed chwilą Widzki na nią, spojrzała na mnie bardzo pobieżnie. Tknęło mnie to; przecież, jak on ją za guwernantkę, ona mnie za frotera wziąć nie mogła. Postanowiłem być przyjemnym, ale nie wiedziałem narazie, jaka rozmowa przystępna być mogła dla tej pierwotnej inteligencji i obyczajowości. Musiała to być chyba rozmowa także bardzo pierwotna, a że w puszczech pokrewieństwa cenią się wysoko, powiedziałem, że mam zaszczyt i szczęście być jej krewnym. Na chwileczkę zwróciła ku mnie oczy i ze słabym uśmiechem, który wnet zniknął, odpowiedziała że istotnie przypomina sobie moje nazwisko, wspominane w jej domu, jako należące do krewnych dalekich i daleko mieszkających. I po wszystkim. Patrzyła znowu na Widzkiego, aż w chwili właśnie gdy on wzbił się na apogeum dowcipu i całe towarzystwo pociągnął na szczyt wesołości, jej brwi ściągnęły się powoli nad opadającymi w dół powiekami i twarz przybrała wyraz smutnego zamyślenia. Głosem, nad wszelki wyraz melodyjnym, zapytałem, jak dawno miasto nasze obecnością swoją uszczęśliwia. Odpowiedziała z roztargnieniem, że od dni paru i znowu całą duszę pogrążyła w badaniu duszy zgromadzonego towarzystwa. Do rozmawiania ze mną w nadzwyczaj małym stopniu usposobioną się okazywała, nie wiedziałem jednak napewno, czy dlatego, że rozmowy wogóle nie praktykuje, czy dlatego, że pochłaniały ją ze szczerem uczucia i myśli jej tylko wiadome. Chcąc nie chcąc tedy, ograniczyłem się na roli obserwatora i po chwili milczącego podziwiania jej antydiluwjalnej, czarnej sukni, z dość drogiej materji, i jej dużej broszy z włoskiej mozaiki, w staroświeckiej oprawie, przyznać musiałem, że w tym stroju, z harmonijnymi kształtami kibici i doskonałym spokojem postawy, przypominała potroszę portrety młodych dam z innej epoki. Gdyby wszystkie nasze panie w ten sposób poubierały się i w milczącej kontemplacji pozamykały, świat przemieniłby się w okropność, ale pomiędzy innymi ta jedna, taka, zaciekawiała. Daleko przecież słabszy odemnie obserwator bez trudności zauważył

mógłby, że portretowy spokój jej był zupełnie powierzchownym. W gruncie rzeczy coś kipiało w tej głowie obciążonej grubym warkoczem i w tej piersi ociągniętej gładkim stanikiem. Raz jeszcze spróbowałam, czy jest zdolną do przydłuższego nieco mówienia.

– Jak podoba się pani nasze miasto?

– Mury czy ludzie? – wzajemnie zapytała.

– Jedno i drugie.

– Pierwsze znam oddawna, drugich teraz poznaję i – nie rozumiem.

– Czy w stronach pani panują o nas biednych tak błędne wyobrażenia?

Po raz pierwszy dłużej nieco popatrzyła na mnie i zcichła odpowiedziała:

– W moich stronach panują różne wyobrażenia... ale ja wyobrażałam sobie towarzystwo tutejsze wcale... innym.

Zarumieniła się i patrząc wciąż na mnie wielkimi, zadziwionymi oczami, dodała:

– Dlaczego pan mówi: „o nas biednych?” Wszyscy tu są tak weseli, że jakiegokolwiek biedy domyślać się nawet niepodobna!

Staś i Leon, którzy przed chwilą obok mnie usiedli, wmieszali się do rozmowy.

– Mędracy utrzymują – wtrącił pierwszy – że dobry humor bywa oznaką dobrego charakteru.

– Pani nie jest zwolenniczką wesołości? – zapytał, drugi.

– Owszem – odpowiedziała i po chwili wahania dokończyła – tylko nie przypuszczałam, aby tu było jej tyle.

Mówiła poprawnie; w sposobie wymawiania wyrazów miała trochę śpiewnego akcentu swojej prowincji i wiele słodyczy. Było w niej przytem uderzające połączenie zmieszania i śmiałości, skromności i nie wiedzieć z kąd dobywającego się blasku. Kilka osób: pań i panów przybliżyło się lub obróciło ku nam. Osoba przybyła ze stron odległych, majątna, młoda, zaciekawia zawsze, tem więcej, jeżeli jest dziwolągiem. Niewidzialny drut telegraficzny, wszystkim już teraz zakomunikował wiadomość, że ten dziwoląg posiada kędyś piękne dobra. Któraś z pań rzuciła pytanie, czy dobra te daleko ztąd położone? Doba podróży, najprzód końmi, potem koleją. Ach, końmi! Więc to nawet nie przy kolei! O, Boże, jakież zakął!

– Jakże pani dobrze zrobiła, że przyjechała do nas zaczerpnąć trochę świeżego powietrza, rozrywki!

– Pani Idalja zaznajomi panią ze wszystkimi urokami naszej Syreny...

– Będziemy usiłovali wszyscy pokazać nasze miasto ze stron jego najlepszych...

– Zaopatrzyć panią w jak największy zasób tej wesołości, którą pani była łaskawą w nas zauważyć.

– Czy pani długo tu zabawi?

– Zdaje się, że tej zimy mieć będziemy znośniejszą niż zwykle operę...

– Karnawał zapowiada się świetnie...

– Dziś już ośmielam się prosić panią o pierwszy kontredans, na pierwszej zabawie tańczącej, w której będę miał zaszczyt brać udział razem z panią...

Byliśmy bardzo uprzejmi. Rzecz to zresztą wiadoma, że nikt nie potrafi być więcej od nas uprzejmym i gościnnym. Panna Zdrojowska była naszym gościem i znaliśmy dobrze obowiązki swoje względem tej osoby, która do naszej sfery należała – pomimo idyllicznego warkocza i antydyluwjalnej sukni. Ją ta nasza uprzejmość i gościnność nie rozrzewniała wprawdzie, ale widocznie ujmowała. Z uprzejmym uśmiechem dobrze wychowanej kobiety wysłuchiwała wszystkich zaproszeń i oświadczeń, poczem, znacznie już z towarzystwem wielu naraz osób oswojona, trochę jednak rumieniąc się, rzekła:

– Miałam interesy w tem mieście do załatwienia, ale najważniejszą przyczyną, która mię sprowadziła do tego ogniska naszej oświaty i zbiorowej pracy, była wielka potrzeba zaczerpnięcia w niem światła, wiadomości, wskazówek. Okolica moja, przez ostatnie wypadki ogołoconą została z ludzi, u których mogłabym znaleźć moralną pomoc i radę...

Słowa te wypowiedziała z naturalnością nadzwyczajną, ale w nas obudziły one żartobliwość, niezbyt złośliwą zresztą, owszem, bardzo miłą. Pierwszy Widzki dał jej ujście, ze swego stanowiska redaktorskiego, w sposób grzeczny i poważny zapytując:

– Łaskawa pani ma zamiar pisać do druku?

Parę osób uśmiechnęło się nieznacznie. Staś za plecami memi szepnął:

– Może idzie o kolonistów do wytrzebienia puszczy...

Ale ona zdawała się uszczęśliwioną tem, że Widzki bezpośrednio zwracał się do niej i z pośpiechem odpowiadała:

– O, nie! Nigdy nie myślałam o pisaniu do druku i zadanie moje jest wcale innym. Przed trzema laty miałam nieszczęście stracić brata... wkrótce potem ojca... i stałam się jedyną właścicielką znacznego majątku, z którego pragnęłabym zrobić jak najlepszy użytek, tem bardziej... że uważam go nie za własność, lecz za depozyt...

Ciekawości, zadziwienia, nawet zgorszenia, których wyrazy przemknęły po twarzach obecnych, albo i trwale na nich osiadły, opowiedzieć niepodobna. Miała znaczny majątek! Chciała z niego zrobić jak najlepszy użytek! Uważała go za depozyt! Jakże można odzywać się z czemś podobnym! Idalka próbowała wprowadzić rozmowę na tor inny, ale towarzystwo nie pozwoliło pozbawić siebie zabawy oryginalnej. Osobę, tak w świecie nową, doprowadzić do publicznych zwierzeń, wznieciło ambicję wielu naraz umysłów. Józio, syn sławnego prawnika i... który wraz ze mną uczęszczał był, co prawda niezbyt często, na prawny wydział uniwersytetu, z uroczystą prawie powagą zapytał:

– Pani nie posiada dobrze uregulowanego prawa własności?

Panna Zdrojowska, widząc poważne usposobienie obecnych, ożywiła się znacznie.

– Owszem, posiadam je jak najlepiej uregulowane pod względem prawnym – odpowiedziała.

– Więc zkadże myśl o depozycie?

– Bo posiadaczem tego majątku byłby brat mój, gdyby żył...

– Ale ponieważ umarł... – z melancholijnem rozpostarciem rąk zauważył Widzki.

– Więc powinnam obrócić go na jak największą korzyść tego, co on kochał...

Było to już tak górne, że poprostu zamieniło nas w głąby. Takeśmy się zadziwili, że zapomnieliśmy o żartowaniu. Panie, za wachlarzami, trochę uśmiechały się, trochę zaczynały szeptać pomiędzy sobą, ale panna Zdrojowska stanęła widać na takim gruncie i znalazła się pod takim wpływem, wobec których nieśmiałość jej znikła i pozostała tylko chęć wypowiedzenia najdroższych uczuć i myśli. Nie rumieniła się już, owszem, trochę pobladła i z płomieniem w oczach rzekła:

– Tak marzyłam, tak pragnęłam znaleźć się tu, poznać tych, którzy społeczeństwu naszemu przewodniczą, usłyszeć ich zdania, zaczerpnąć od nich światła, wskazówek...

Kilku z pomiędzy nas ukłoniło się głęboko.

– Pani! czem tylko słabe siły nasze służyć mogą!

– Jakich mianowicie światła i wskazówek?

Cała w promieniach i płomieniach, nerwowym ruchem ręki mnąc fałdę sukni i, jak mi się zdawało, drżąc nieco, mówić zaczęła:

– Idzie mi o to, czy w pojmowaniu zadania nie popełniam błędu. Zdaje mi się, że dla tych, którzy mają szczęście posiadać ziemię i żyć pośród ludu, nic nie ma ważniejszego nad udoskonalanie ziemi i ludu. Praca około roli dla podniesienia jej produktywności i około dusz ludzkich dla ich uszlachetnienia... to są zarysy główne... ale szczegóły, sposoby...

– Szczytne uczucia! – zadeklarowało parę głosów męzkich, a jeden kobiecy zauważył:

– Ależ te rzeczy muszą być strasznie trudne i – nudne!

Widzki zaś łagodnie i współczująco wtrącił:

– Czy nie za wielki ciężar dla sił niewieścich?

Podniosła na niego trochę przenikliwie, a trochę smutne oczy.

– „Poranek” inaczej o siłach niewieścich utrzymuje – zcicha wymówiła.

Widzki zmieszał się nieco.

– Pani łaskawa – zaczął – teoria... a praktyka... rzeczy różne...

Po raz pierwszy na niego i wogóle po raz pierwszy podniosła głowę i spojrzała trochę z wysoka.

– Spozstrzegać zaczynam, że tak bywa...

Zdawało mi się, że w tej chwili spozstrzegać też zaczynała w rozmowie ładnie utajoną podszewkę żartu, ale spozstrzeżenia tego nie była jeszcze pewną.

– A jabym tu miał do zarzucenia – z wielką zewnętrzną powagą zaczął Józio – że takie pojmowanie życia jest zbyt surowym... zbyt oddalone od źródeł i wzorów cywilizacji, aby przez kogokolwiek, bez ostatecznej konieczności, akceptowane być mogło.

Zelektryzowało to ją znowu tak bardzo, że o spozstrzeżeniu, czy podejrzeniu swoim zupełnie zapomniała.

– A mnie się zdawało – zaczęła – pewną nawet byłam, że w takich okolicznościach wszyscy surowo pojmujemy życie, że tu szczególnie, w ognisku naszej oświaty, naszych dążeń i ideałów, takie pojęcie o życiu jest panującym, wskazywanym... Zresztą, nie wiem doprawdy, czy wogóle podobna być szczęśliwym, nie mając jakiegoś celu, zadania, szczególnie tak naturalnego i koniecznego...

Istotnie, to co mówiła wydawało się jej tak naturalnym i koniecznym, jak samo mówienie o tem i zajmowanie tem – wszystkich wogóle, a przewodników społeczeństwa w szczególności. Zresztą w zasadzie, wszyscy byliśmy tego samego, co ona, zdania, tylko nie doświadczaliśmy palącej ochoty stosowania go do siebie i raziła nas ogromnie forma, w której wypowiedzianem zostało. Ilski szczególnie z szeroko otwartymi i wlepionymi w nią oczyma, wyglądał przekomicznie.

– O cóż więc właściwie łaskawej pani idzie? – ze szczerem zdziwieniem zapytał.

– Pragnęłam usłyszeć zdanie ludzi, społeczeństwu przewodniczących, o obowiązkach, które w tej chwili najważniejszymi są dla posiadaczy większych własności ziemskich... i o tem także, jakimi sposobami te obowiązki najlepiej spełnić można...

Nastąpiła chwila milczenia ogólnego, kilka osób porozumiewało się spojrzeniami, wszyscy przybrali postawy i miny poważne. Uznawano, że w tem, co panna Zdrojowska powiedziała, materji do żartów nie ma, ale zarazem uczuвано ogromną ochotę do żartowania... Na katedrze, na ambonie, w książce zresztą, to bardzo dobre, ale w towarzystwie jest poprostu śmiesznym. Jednak, z drugiej strony, otrzymana godność przewodników społeczeństwa, obowiązywała i nikt nie chciał okazać przed tą kobietą, bądź co bądź, młodą i bogatą, że mu zbyt wielki zaszczyt wyrządziła. Widzki pierwszy przerwał uciążliwe dla wszystkich milczenie.

– Jeżeli idzie o podniesienie kultury rolnej – rzekł – posiadamy parę pism specjalnych, których tytułami i adresami bardzo chętnie służyć pani będę.

– A jeżeli o oświatę ludową – wtrącił Józio – wątpię, czy na tej drodze cokolwiek da się zrobić; lud nasz jest tak pierwotnym, że trudno pomiędzy nim a nami znaleźć jakikolwiek punkt... kojarzący...

– Mnie się zdaje – pierwsza z kobiet ozwała się pani Marja – że bardzo ważnym zadaniem dla ludzi mieszkających na wsi, jest ożywianie tam życia towarzyskiego, które znajduje się teraz w wielkim upadku...

– Zupełnie słusznie – prawie z zapalem potwierdził Leon – przyozdobić dom dziełami sztuki, otworzyć go dla sąsiadów, uczynić z niego przybytek dobrego smaku i uszlachetniających wrażeń...

– Mówisz tak, jak gdybyś był adwokatem pana Adama Ilskiego i chciał mu zapewnić sprzedaż paru obrazów...

Był to pierwszy żart, który innym tamę otworzył.

– Przedewszystkiem – śmiejąc się zawołała Idalka – nie trzeba robić z siebie mniszki!

– Broń Boże! bo po pierwsze jest to anachronizmem, a powtóre samobójstwem...

– Według mnie, kobieta piękna i wykształcona jest zjawiskiem tak cudownym i dobroczynnym, że przez samo już istnienie swe na ziemi spełnia zadanie najwspanialsze...

– A jeżeli idzie o bezpośrednie słuźenie ogółowi, droga tu jasno wytknięta: rodzina, macierzyństwo!

- Uszczęśliwienie jednego z synów społeczeństwa...
- Wychowanie dla społeczeństwa nowych filarów...

Stefan, zdecydowany pesymista, utrzymywał, że nie warto wykreślać sobie żadnych dróg i zadań, bo wszystkie do niczego nie prowadzą. Ludzkość z natury swojej jest oporną udoskonaleniu i najrozumniej czyni ten, kto niczemu nie ufa i niczego nie spodziewa się od siebie i świata. Leon zapytał pannę Zdrojowską, czy zna dzieło Degeranda, o doskonaleniu się moralnym, które matka jego bardzo chwali i pilnie czytuje.

Jedna z pań z przejęciem rzekła:

– Gdybym była na miejscu pani, wypuściłabym majątek w dzierżawę i przeniósłabym się do dużego miasta. Tu jest daleko więcej, niż na wsi pola dla działalności kobiety majątnej i inteligentnej. Można by założyć czytelnię dla kobiet...

– Aby te, które już istnieją, zbankrutowały – zaśmiał się Widzki.

– Więc coś innego... naprzykład... pismo dla kobiet...

– W imię „Poranku” protestuję...

– Ale temu może pan nie zaprzeczy, że kobieta majątna i inteligentna, samem już przebywaniem w dużym mieście i roztaczanemi wpływami towarzyskimi i estetycznymi spełnić może ważne i dobroczynne dla społeczeństwa...

– Zadanie! Zgadźmy się, zgadzamy się na to najzupełniej i wszyscy! Nieprawdaż?

– Nie wszyscy – ozwał się trochę z za moich pleców Staś. Ja protestuję. Nie dolewa się do naczyń pełnych. Miasto posiada znakomitą sumę wpływów towarzyskich i estetycznych. Roztaczać je należy tam gdzie jest ich zbyt mało... na pustyniach i w puszczech!...

Niechże kto wytłómaczy dlaczego, w ciągu całej rozmowy, nie tylko ani razu nie odezwałem się, ale brała mnie przeciw odzywającym się złość coraz większa. W całej rozciągłości rozumiałem niewłaściwość znajdowania się panny Zdrojowskiej, a jednak wszystko, czem jej odpowiadano, wydało mi się płaskim i niegustownym, aż wspomniana przez Stasia puszcza, zupełnie już wytrąciła mnie z równowagi, może dlatego, że zauważyłem wywołany przez nią rumieniec i błysk oczu panny Zdrojowskiej. Zrazu z rodzajem śmiesznego uszanowania słuchała zdań swoich pomazańców, lecz wkrótce upewniła się o trafności przelotnego zrazu spostrzeżenia. Spuściła powieki, znieruchomiła, zupełnie umilkła. Była naiwną, ale nie była głupią. Uczuła, że jest przedmiotem tego, co się nazywa: wyprowadzeniem w pole, i w odezwaniu się Stasia zrozumiała aluzję do siebie. Oburzyło mnie to... Na honor! jest się potomkiem rycerzy, albo się nim nie jest! To wszystko zadaleko już poszło.

– Panowie – odezwałem się – powtarzam, panowie, prosząc najuprzejmiej, aby panie raczyły nie brać do siebie tego, co powiem, bo o paniach, tak jak o umarłych, mówi się dobrze, albo nic się wcale nie mówi. Więc, panowie, zdaje mi się, że uczynilibyśmy lepiej, gdybyśmy zamiast suszyć głowy nad zagadnieniami przez pannę Zdrojowską podniesionymi, otwarcie wyznali, że zaszła omyłka w adresie, że jesteśmy paczką ludzi w bardzo miłe przymioty niewątpliwie zaopatrzonych, lecz których myśli i upodobania rozwinęły się w kierunku wcale odmiennym. Pewno w tem nie ma nic złego, bo przecież każdemu wolno jest żyć podług wrodzonych upodobań i zdolności, a jeżeli jest co złego, daję przykład i ze szczerością, która mnie samego rozrzewnia, pierwszy biję się w piersi: moja wina! moja wina! moja wina!

Mówiąc to usiłowałem zachować ton swobodny, ale czułem sam, że przebijało się w nim dla mnie samego niepojęte rozdrażnienie. Nie wiedzieć za co i dlaczego, byłem zły na obecne towarzystwo i na samego siebie, gniotłem też w dłoni rękawiczkę, mszcząc się na tej dunce, za doznawane nieokreślone, lecz przykre wrażenie. Nagle, podniósłszy powieki, spotkałem się wzrokiem z dwiema gwiazdami, z dwiema szafirowymi gwiazdami, które wpatrywały się we mnie dziwnie przezroczyście, głębokim spojrzeniem. Nigdy w świecie młoda kobieta, zwłaszcza panna, nie patrzy tak długo i przenikliwie w twarz młodego i mało znanego mężczyzny. Było to do najwyższego stopnia rażącym; jednak obok człowieka, który czuł całą nieprzyzwoitość i śmieszność

jej zachowania się, znalazł się we mnie jakiś inny człowiek, który nisko pochylając się przed nią, zapytał:

– Czy otrzymam absolucję?

Odwróciła oczy i przecząco wstrząsnęła głową.

– O nie! – rzekła zcicha.

Zupełnie dzika! – pomyślałem i powstawszy zbliżyłem się do Józia i Bronka, którzy z mego wyznania winy wcale niezadowoleni, z niejaką nawet obrazą utrzymywali, że przeciwnie, przedmioty podniesione przez pannę Zdrojowską, jako to: zwiększanie produktywności roli, oświecanie ludu, potrzeba dla każdego życia jakiegoś określonego celu i zadania, są im gruntownie i ze wszech stron znanymi, że zajmują się nimi bardzo pilnie, tylko, że niepodobna rzeczy takich w towarzyskiej rozmowie wyczerpywać i znowu na rzecz każdą zapatrywać się można z punktów najróżniejszych. Przyłączyły się do nich osoby inne, rozmowa obracać się zaczęła około różnych teorii pojmowania życia i jego zadań, jako to: pracy organicznej, utylitaryzmu, oportunistów, pesymizmu i t. d. Mnóstwo **izmów** z ust do ust przelatowało i można powiedzieć, że wiedza miała w nas w tej chwili przedstawicieli świetnych i wymownych. Istotnie, wiedzieliśmy ogromną masę rzeczy i umieliśmy o nich mówić zachwycająco. Zadawał nas to najzupełniej, z wyjątkiem Stefana, który od czasu pewnego, pod wpływem przyczyn w połowie majątkowej, a w połowie uczuciowej natury, stał się w kółku naszym stałym poplecznikiem pesymizmu. Teraz także wymownie utrzymywał, że ani kochać, ani działać, ani złudzeń jakichkolwiek żywić nie warto, że ze wszystkich genjuszów świata tylko Horacjusz i Hartmann spojrzeli w oczy samej prawdzie i że człowiek, który nie życzy sobie być, według wyrażenia Renana, „igraszką wielkiego oszustwa”, powinien, albo „chwytać dziś”, o jutrze nie myśląc, jak doradza Horacjusz, albo, stosownie do rady Hartmanna, w łeb sobie palnąć. Rozpaczliwa teoria ta obudzała żarliwą opozycję u tych z pomiędzy nas, którzy w całokształcie życia swego nie mieli bardzo wyraźnych przyczyn do trosk i zmartwień; dyskusja zdobna w terminy naukowe i filozoficzne, w cytaty z nieskończonej liczby autorów poczerpnięte, ożywiała się i biegła ku punktowi, na którym znalazłby się może jakiś poważny jej rezultat, ale do którego dobieść nie pozwoliła jej Idalka. Dla jej gustu, dla reguł dobrego prowadzenia salonu, tej powagi i tego grzęźnięcia na jednym mniej więcej przedmiocie rozmowy, było już nadto. Piękny fajerwerk, przez tę dziką zapalony, trwał zadługo i groził roznieceniem rzetelnego ognia. Trzeba to było przerwać i wieczór urozmaicić, że zaś wypadkiem żaden *grand* ani nawet *petit artiste* nie znajdował się w towarzystwie, Idalka sama przed fortepianem zasiadła, mnie do pomocy w przewracaniu nut przyzywając.

Przed fortepianem piękna blondynka, wilczemi głowami od stóp do głowy orzucona, w świetle dwóch snopów świec, na pulpicie umieszczonych, grająca jakąś wielką i trudną kompozycję muzyczną, a nieco za nią, ja, w roli wiernego adjutanta, w nuty zapatrzony i od czasu do czasu karty ich przewracający; pośrodku salonu, dokoła stołu z lampą, w chiński postument wprawioną i z albumami, na fotelach, krzesłach, pufach, w nieładzie porozsuwanych, panie w jasnych i spętanych sukniach, z krótkimi stanikami, i panowie, w doskonale poprawnych strojach, nieco naprzód albo w tył pochyleni, ku fortepianowi twarzami obrócenii, uważni, poprawni, czasem tylko pod ręką szybkim ruchem do ust podniesioną, ukrywający niedostrzegalne ziewnięcie. Większość obecnych szczerze lubowała się muzyką i słuchała jej z uszanowaniem, najprzód z powodu prawdziwego zamiłowania w tej sztuce i, mniej więcej, dobrego jej znawstwa, a potem dlatego, że gra Idalki była jednym z najstaranniej wykończonych i najpowabniejszych szczegółów jej toalety. Jakim sposobem muzyka może być szczegółem toalety? Bardzo prostym. Tylko chłopki, albo wogóle kobiety niższego rzędu dbają jedynie o ubiór ciała, składający się z sukni, czepeczka i tym podobnych rzeczy natury materialnej; kobieta wyższa, kobieta inteligentna, której przeznaczeniem jest żyć i kwitnąć w anturażu wyższym i inteligentnym, od dzieciństwa i przez całe życie robi toaletę, że tak powiem, duchową, w której, jeżeli symbolicznie rzecz tę przedstawić sobie zechcemy, liczne wiadomości o literaturze i sztukach są, dajmy na to, suknią, znajomość obcych języków – kokardami, gra na fortepianie, śpiew, rysowanie i t. d. – mniej lub więcej kosztowną biżuterją. Od tej zaś drugiej toalety, częstokroć więcej,

niż od tamtej, fizycznej, zależy stopień błyszczenia kobiety w świecie. Idalka błyszczała muzyką jak brylantową broszą i dlatego najczęściej, trochę też z rzetelnego zamiłowania pracowała nad nią i w samotności i pod kierunkiem mistrzów, udzielających jej wiecznych lekcji. Że zaś była istotą nerwową i zdenerwowaną gra jej posiadała pewną kapryśną nerwowość i siłę, która, obok znakomitej techniki, czyniła ją oryginalną i zajmującą. To też, gdy ramieniem oparty o poręcz jej krzesła, tuż przy niej, dla lepszego widzenia nut, pochylony, słuchałem wychodzących z pod jej palców tonów namiętnych i bardzo zbliżka patrzyłem na śliczne ręce, po klawiszach biegające, ogarnęła mnie znowu, przez parę godzin ostygła, a teraz nieprzezwyrodną ochota do flirtowania. Jak więc tam było, to było – i nie pamiętam już dokładnie i opowiadać nie warto, bo każdy człowiek dobrego towarzystwa wie o tem bardzo dobrze, ale tonami muzycznymi, słowy urywanymi, kiedy niekiedy spojrzeciami, nawet rękawami naszych ubrań flirtowaliśmy oboje zawzięcie i z przyjemnością. Jednak, zwykłym porządkiem rzeczy ziemskich, kompozycja przez Idalkę wykonywana, końca swego dobiegła, a po ostatnich jej akordach rozległy się w salonie podziękowania liczne i opinie najpochlebniejsze o wartości kompozycji i grze wirtuozki, która pozostała jeszcze przez parę minut przy fortepianie, przeciw zwyczajowi swemu i powszechnemu, milcząca. Przez te dwie minuty powstał i dojrzał w niej zamiar, który też natychmiast uskuteczniła, powstając i uprzejmie, nawet serdecznie prosząc pannę Zdrowską o zaśpiewanie. Miała dobre serce i krewną swą, jak dowiedziałem się o tem później, od dzieciństwa znała i lubiła. Pragnęła więc wrażenie sprawione przez nią naprawić, a przytem wieczór jakąś nowością urozmaicić.

– Śliczny ma głos i bardzo ładnie śpiewa – szepnęła do mnie i paru innych osób.

Dzika, usłyszawszy zwrócone do niej wezwanie, zwyczajem dzikich zmieszała się zrazu, chciała, jak się zdawało, odmówić, gdy nagle, wesoła widocznie myśl strzeliła jej do głowy, bo na mgnienie oka cała twarz jej stanęła w uśmiechu, który błysnął w oczach, przemknął nietylko po ustach, ale po wszystkich rysach i bardzo szybko zniknął. Wstała i przeszła przez salon w fałdach czarnej sukni, z węzłem warkocza nad głową, więcej jeszcze niż przedtem podobna do portretu młodej damy z innej epoki. Pomysł Idalki okazał się świetnym, nowość obudziła zaciekawienie żywe, wszyscy z pełną skupienia powagą obrócili się ku fortepianowi, po salonie rozległo się najprzód parę akordów, potem pasaż wprawną ręką wykonany i jak grad pereł czysty, potem jeszcze kilka akordów coraz smętniejszych, wolniejszych, cichszych... Preludjum obiecywało wiele, do uważnego słuchania usposabiało, aż stopiło się w całość z pięknym, rozległym, głębokim głosem, który na nutę niezmiernie przewlekłą i monotonną śpiewać zaczął następujące słowa:

Du-u-u, du-u-u,  
Kozioł brodaty,

Du-u-u, du-u-u,  
Sprzedał drzwi chaty,

Du-u-u, du-u-u,  
Kupił koskę.

Du-u-u, du-u-u,  
Na co koska?

Du-u-u, du-u-u,  
Sianko kosić,

Du-u-u, du-u-u,  
Na co sianko?

Du-u-u, du-u-u,  
Krówki karmić.

Du-u-u, du-u-u,  
Na co krówki?

Du-u-u, du-u-u,  
Mleczko doić.

Du-u-u, du-u-u,  
Na co mleczko?

Du-u-u, du-u-u,  
Pastuszki poić...

I tak dalej, i tak dalej, łańcuchem, który przedłużał się, zda się, w nieskończoność, wciąż do poprzedzających dodając ogniwo nowe i najniespodziewańsze, jako to: górę, złote ziarna, koguta, morze, trzcinę, panienki i t. p. Mój kochany, były tam nawet i – świneczki!

Z jakimi uczuciami i minami słuchaliśmy tego śpiewu, co działo się z Idalką, jakimi były własne wrażenia moje, tego żaden język opowiedzieć nie jest w możności. Potem już, mówiła mi Idalka, że doświadczała takiego uczucia, jakby sufit walił się na nią; innych ogarniał gniew, śmiech, albo to specjalne uczucie, którego doświadczamy stając się niespodziewanie świadkami – skandalu. Słuchaliśmy przecież, bo cóż? Kobiety, i do tego herytjery, niepodobna było wziąć za rękę i od fortepianu odprowadzić; przytem, cóż ona winna temu? Każdy śpiewa jak umie i wina tu tylko Idalki, która musiała mieć o jej śpiewaniu wiadomość bardzo pośrednią i fałszywą. Zresztą, na domiar kłopotu naszego czuć było w tem śpiewaniu głos i piękny i umiejętny, chyba więc repertuar był taki pożałowania godzien. No, ale wszystko kończy się na świecie i ten łańcuch niesłychanej długości skończył się także. Znowu kilka akordów dość skomplikowanych, kilka przeczystych pasaży, kilka nut *de crescendo*, aż do najsubtelniej wycieniowanego *pianissimo* spływających i panna Zdrojowska, w rześnistym świetle dwóch umieszczonych na pulpicie kandelabrow, z krzesła powstała.

Powstała ruchem żywym i swobodnym, obróciła ku obecnym twarz rozbłysłą nie jednym już, ale mnóstwem uśmiezków i w kształcie komentarza rzekła:

– Jest to kołysanka ludowa z moich okolic. Kiedy byłam dzieckiem, kochana niania moja, Bohusia, usypiała mnie nią – w puszczy!

Zadziwiająco to słowa wyrzekłszy, wykonała szybki, zgrabny, niziutki dyg i właściwym sobie krokiem, cichym i równym, do buduaru Idalki wybiegłszy, w głębi mieszkania zniknęła.

W puszczy! Wyraz ten w jej ustach był dla mnie promieniem światła. Więc umyślnie to zrobiła! Nam, nam, takie du-du zaśpiewać! Nam zaśpiewać o koźle brodatym! Ach, odważna, złośliwa dziewczyna, jakże ona z nas zadrwiła! Zemściła się za żarty, które zrozumiała, za „puszczę”, którą pewno w ciągu wieczora dosłyszała nieraz. Było mi tak, jak gdybym kieliszek mocnego trunku wypił: w piersi i głowie uczułem gorąco, oczy, które osłupiałemi być musiały, wlepiłem w buduar, w którym ona zniknęła, i doświadczałem szalonej ochoty biedz za nią, zapytywać, przepraszać, patrzeć w jej szafirowe gwiazdy, takie przed chwilą rozweselone i figlarne. Nic a nic przecież z tego wszystkiego nie zrobiłem; nie wypadało. Po kwadransie też zapał mój ostygł i tylko z pewną niecierpliwością pomyślałem parę razy: „dlaczego ona nie wraca?” Nie wróciła już wcale do salonu, w którym, przez wzgląd na widoczną zmartwioną gospodynię domu, nikt o niej żadnej wzmianki nie robił. Przy wieczerzy, którą zimy owej podawano gorącą i obfitą, nudziłem się solennie, a potem, korzystając z chwili, w której przed rozejściem się goście i gospodyni mówili sobie z największym

ożywieniem najmilsze rzeczy, wszedłem do buduaru i przez wąziutką szczelinę drzwi niezupełnie zamkniętych zajrzałem do pokoiku, będącego miejscem hodowania się i wzrastania nowego filaru, którym Idalka społeczeństwo obdarzyła. Czyniąc to, nie dopuszczałem się nadużycia żadnego; byłem bliskim krewnym Idalki, jej przyjacielem z lat dziecińczych i w domu jej posiadałem wszystkie godziwe swobody. W pokoiku, do którego zajrzałem, przy świetle lampy zasłoną przyćmionej, filarek w łóżeczku, jak różowe cacko wyglądającym, spał, a pod ścianą, na kanapce, panna Zdrojowska oddawała się poufalej rozmowie – z jego boną. Była to młoda Szwajcarka, ani ładna, ani mądra, wogóle jakieś sobie mizerne *rien du tout*. Nikomu też nigdy nie przyszło na myśl rozmawiać z nią lub okazywać jej względy wyższe nad ukłon, zdaleka oddany i o ile podobna najmniej wyraźny. Ta dzika, obok niej siedząc, z przychylną uwagą słuchała jakiegoś jej przyciszonego opowiadania. Opuściła więc towarzystwo nasze dlatego, aby słuchać zwierzeń tej córy szwajcarskiego oberżysty. Bardzo słusznie. Są osoby, dla których, pomimo trafu rządzącego urodzeniem i majątkiem, garderoba daleko stosowniejszą bywa niż salon. Dziwna tylko rzecz, dlaczego dogadzając wrodzonym upodobaniom swoim, panna Zdrojowska wydawała się smutną. Ani śladu tego rozweselenia, z którym po odśpiewaniu swego du-du, wybiegła była z salonu. Ręce trzymała nieruchomo na sukni splecione, a twarz jej, w przyćmionym świetle lampy, pomimo uprzejmego uśmiechu, z jakim słuchała swojej mizernej towarzyski i przemawiała do niej, okrywał wyraz zamyślenia i smutku. Cichutko od drzwi odszedłem. Że też Idalka miała odwagę i ochotę pokazywać światu tę osobliwość! Niechby ją była lepiej na cały wieczór pozostawiła ze swoim filarkiem i jego boną! Ze schodów mieszkania schodziliśmy dość gromadnie, głośno i wesoło rozmawiając. W bramie domu przez głowę przemknęło mi pytanie: czego ona taka smutna? Józio i Widzki zaproponowali pójść na koniak i czarną kawę. Naturalnie, *jours fix'y* nie ciągną się nigdy do późna. Było niewiele po północy, pora do spania zupełnie jeszcze niemożliwa. W gabinecie restauracyjnym znajdował się fortepian. Przy koniaku i czarnej kawie gwarzyliśmy w najlepsze, gdy Staś zasiadł przed fortepianem i spróbował kilku akordów, zaśpiewał:

Du-u-u, du-u-u,  
Kozioł brodaty,

Du-u-u, du-u-u,  
Sprzedał drzwi chaty,

Du-u-u, du-u-u...

Dalej słów nie pamiętał. Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem.

- Nieoceniona! – zrywając się od fortepianu, zawołał Staś – jak ona ukłoniła się przed Bronkiem, jak na niego patrzyła... ona, na honor, wyobraża sobie, że to arcykapłan!
- Nas wszystkich potrochu za pomazańców wzięła! Kulą w płot... – zaśmiał się Józio.
- A toaleta? a?
- A depozyt?...
- I zadanie życia...
- Otóż to, gdzie gnieźdzą się krocie!
- I wdzięki!
- Z wdzięków nie żartuj. Wcale nieszeptna. Jaka ona była milutka, kiedy odśpiewawszy swoje du-du, dławiąc się od śmiechu, robiła nam ten dyg taki niziutki...
- Było to zupełnie tak, jak gdyby powiedziała: jesteście kpy i bywajcie zdrowi!
- *Voilà une baba, comme il n'y a pas d'autre!*
- Jak to jednak majątek czyni zuchwałymi nawet – dzikich!
- Warto byłoby zająć się jej ucywilizowaniem...

- Choćby dla heritazu...
- Nie; dla pięknych oczu i zgrabnej figurki.
- Żeby się to przyzwoicie ubrało, mogłoby być wcale czemś!
- Wiecie co, spróbujmy wielkiego dzieła wzbogacenia cywilizacji o jedną więcej jednostkę...
- Weźmy to sobie za zadanie życia...
- Bez którego nikt wogóle szczęśliwym być nie może...
- Ale jakimi sposobami?

Zaczęli wymyślać sposoby, którymiby mogli ucywilizować córę puszczy, jak stale pannę Zdrojowską nazywał Staś. Proponowano obwiezienie jej po miejscowych magazynach mód, zaprowadzenie na kilka bibek, wprowadzenie do kilku salonów, zachęcenie do czytania książek pewnego rzędu, nakoniec, zawrócenie jej głowy – miłością, naturalnie, jak tylko być może najwięcej idyliczną i prababkową...

Z początku trochę się mieszałem do rozmowy, potem umilkłem i zacząłem uczuć złość na tych chłopców, którzy wyśmiewali moją krewną. Mnie samemu wydawała się ona bardzo śmieszna, źle wychowaną, wcale nie wychowaną, dziką; ale była moją krewną i nie powinienem był pozwalać na to, aby w moich oczach obchodzono się z nią w ten sposób. Złość mię brała coraz większa; wściekle kręciłem w palcach gałki z okruch chleba na stole rozrzuconych, aż nakoniec wyprostowałem się i bardzo zimno, zupełnie na sposób angielski rzekłem:

– Muszę oznajmić wam, moi drodzy, że panna Zdrojowska jest moją krewną, że dotknęły ją nieszczęścia rodzinne, które budzą całe moje współczucie, że... *enfin... pour cent raisons et autres* zabraniam wam wszelkich z niej żartów i wogóle wszystkiego, co by jej na jakikolwiek sposób ubliżyć mogło, a ktokolwiek z was, pomimo tego ostrzeżenia, na coś podobnego sobie pozwoli, będzie miał ze mną do czynienia. *Ainsi soit-il*. Dobranoc.

To rzekłszy i tak obowiązku familijnego dopełniwszy, wziąłem klak i gabinet restauracyjny opuściłem.

## II

Nazajutrz, przez dzień cały, życie wydawało mi się ciężkim krzyżem i z kolei łachmanem, wszelkiej wartości pozbawionym. Zdarzało mi się to nieraz już i przedtem... Powiadasz, kochany synowcze, że zdarza się i tobie... Zdarza się nam wszystkim, których świat, powierzchownie sądzący, za szczęśliwych poczytuje. Bo widzisz, wesołość i przyjemne przepędzanie czasu, to rzecz jedna, a szczęście zupełnie druga. Ja i towarzysze moi byliśmy weseli i nierzadko przepędzaliśmy czas bardzo przyjemnie, ale gdyby ktokolwiek powiedział nam, że jesteśmy szczęśliwi, zaprzeczylibyśmy temu najszczerzej i najenergiczniej, poczem długo i głęboko rozmyślalibyśmy, lub rozprawiali o zagadnieniu: czem jest szczęście? Szukałibyśmy jego określeń w książkach poetów i filozofów, aż ostatecznie przyslibyśmy do przekonania, że albo szczęścia nie ma wcale na świecie, albo jest ono bańką mydlaną, która przez parę sekund udaje tęczę. Tak dalece nie mieliśmy w sobie uczucia szczęścia. Wyrażam się w liczbie mnogiej, ponieważ było to cechą niejako gatunkową, właściwą nam wszystkim w mierze większej, albo mniejszej, z racją określoną mniej, albo więcej, często wcale nieokreśloną. Wprawdzie niektórzy z pomiędzy nas doświadczali pozytywnych nieprzyjemności z powodu stosunków rodzinnych, albo długów, albo sentymentów nietrafnie, czy niewygodnie ułożonych. Inni upędzali się nadaremnie za wymarżonym, a nieznajdowanym ideałem kobiety i miłości. Ale byli i tacy, którzy doświadczanego często niezadowolenia z życia żadnej z tych przyczyn przypisać nie mogli i ani sobie, ani komukolwiek nie potrafiliby powiedzieć napewno: czego właściwie chcą? Należałem do tych ostatnich. Żadna rujnująca pasja nie wytrącała mię z równowagi finansowej, żadna katastrofa nie zmiążdżyła serca, żaden *bacillus* tuberkuliczny albo inny w organizmie moim nie obrał sobie siedliska. Miałem znaczne dochody, które z niezmiernie małym współpracownictwem mojem wydobywał mi z majątku uczciwy i biegły w zawodzie swoim rządca; zdrowie, oprócz podrażnionych nieco nerwów, dopisywało mi wybornie, życie, które wiodłem, było pełnem różnorodnych źródeł uciechy i używania, jednak bywały dni i tygodnie, w których oddawałem się miłej robocie lepienia babek z piasku i zatykania niemi próżni, przez którą nalatywał mi do duszy wiatr melancholji. Materjałów do tej roboty używałem najrozmaitszych. Były to rozszerzane i do niepodobieństwa prawie pomnażane stosunki towarzyskie, blizkie i na wzajemności usług oparte stosunki z najświetniejszymi przedstawicielkami choreografii i hypodromji... stosunki z przedstawicielkami najpiękniejszego wykwit cywilizacji salonowej, najróżniejszego rodzaju sporty, żarliwe uprawianie muzyki fortepianowej, zaczytywanie się w poematach, aż do wyuczania się ich na pamięć... nawet... cóż powiesz? branie różnych lekcyj, jako to: gimnastyki, fechtunku, gry na instrumentach najniepospolitszych, języków najmniej rozpowszechnionych... w owej to właśnie porze nauczyłem się był piąte przez dziesiąte po hiszpańsku i zamierzałem przystąpić do uczenia się po turecku, marząc o podróży na wschód, jako o jednej z nieulepionych jeszcze nigdy babek z piasku. I nie mogę nawet powiedzieć, aby te próby nie bywały uwieńczeniami bardzo pięknem często powodzeniem. Owszem, dzięki im spędzałem znowu przyjemnie i wesoło dni, tygodnie, nawet miesiące, i temu tylko zapobiedz nie mogłem na sposób żaden, aby babki z piasku nie rozsypywały się rychlej, lub później, zazwyczaj dość rychło. Poczem znowu w czar życia sączyły się krople rozczarowania... aż do popadnięcia pod rękę nowej garści lepkiego piasku, albo nowej słomki z rozmydloną wodą. Skutkiem najbliższym usposobienia takiego było to, że okoliczność wszelka, natury choćby w najmniejszym stopniu nieprzyjemnej lub niedogodnej, stawała się tem trąceniem lekkim samo przez się, które niemniej wtrąca w przepaść rozpacz. Bo i naturalnie. Łatwo jest ludziom, którym życie włożyło w duszę cudowny kwiat szczęścia, znosić drobne, złe humory tego życia dobrodzieja; ale kto takiego kwiatu nie posiada, temu przysługuje prawo żądania, aby przynajmniej nie kaleczyły go żadne ciernie. Jeżeli całem dobrem mojem jest łożo z fiołków, niechże mi przynajmniej nie kładą w nie żadnej pokrzywy!

To jedno, a potem – nieustanne przebywanie na parniasie szczególnie wstrętne czyni wszelkie padoły.

Kto ustawicznie i wyłącznie ma do czynienia z inteligencją, elegancją, dowcipem, muzyką, poezją i tym podobnymi ptakami rajskimi, temu sadić na głowę wróbla, albo kłaść w rękę żabę, jest największą pod słońcem niesprawiedliwością. Nie trzeba było od razu umieszczać mię pośród rajskich ptaków, albo trzeba mi już dać pokój z wróblami i żabami. Ale nie, życie jest takim, że gdybyś nie wiedzieć jak otrząśł skrzydła z jego nikczemnej gliny, zawsze ci jej kawałek spaść na nie musi. W świecie moralnym, zarówno jak w fizycznym, siła ciężenia jest w działaniu swoim nieprzewyciężoną. Kamień jak najwyżej podrzucony, musi upaść na ziemię; duch najwyżej wzbijający się w sferę poezji życia, musi upadać w jego prozę. Wielka proza życia, jako to: interesy majątkowe, rozmowy o nich z ludźmi innych niż moje horyzontów, rachunki, procesy, zetknięcia się z warstwami ludzkości mniej lub więcej gminnymi, budziły we mnie wstręt i nudę, które przewyciężałem z konieczności i z uczuciem słusznego buntu.

Jeżeli jeszcze te przykrości zaskakiwały mię w porze różowej, traktowałem je lekko i znośłem łatwo, ale jeżeli, w szarej przerabiał ją na zupełnie czarną.

Wtedy gnębiły mię cisnące się do myśli zapytania: po co żyję? Jakim będzie ciąg dalszy życia?

Takim był właśnie dzień, który nastąpił po pierwszym zapoznaniu się mojem z tą dziką. Zaraz już, po obudzeniu, rozgniewał mię mój lokaj, podając mi zamiast kawy, której żądałem, czekoladę; zaledwie zaś omyłka ta naprawioną została, zjawił się – kto? rządcą majątku mego, z obszernem sprawozdaniem o jakiejś świeżo powstałej sprawie serwitutowej i z żądaniem, abym tą sprawą zajął się pilnie i bezzwłocznie, bo jeżeli ją zaniedbam, z pastwiskiem, rujnowaniem przez chłopów, będzie źle! Do diabła chłopie, serwituty, pastwiska! Powiedziałbym też: i rządcą! ale szanowałem tego człowieka za sumienne pełnienie swego zawodu i swoich obowiązków.

W każdym człowieku wysoko poważałem sumienne pełnienie obowiązków, a w tym wyżej jeszcze poważać je musiałem, ponieważ dla mnie samego było korzystnym. Tylko, że nudził on mię okropnie. Ale nie byłem znowu niedołągą i w razie potrzeby bardzo dobrze umiałem przewyciężyć i nudę i lenistwo; że zaś tym razem zachodziła potrzeba, którą także dobrze rozumiałem, więc, razem ze swoim dobroczyńcą i katem, pół dnia strawiłem na rozpatrywaniu mapy majątku, na rozczytywaniu się w aktach urzędowych i na rozmowie z adwokatem, od którego wróciłem żółty od melancholji. Przy śniadaniu, które jadłem sam jeden, w mojej, ładnej salce jadalnej z dębowymi sprzętami i tuzinem zdobiących ściany talerzy z rzadkich fajansów, zgryźliwie myślałem, że stanowczo lokaja Wincentego odprawić muszę, bo nie dość cicho drzwi za sobą zamyka. Od trzech lat jest już u mnie, przez cały ten czas uczę go ciągle, uczę, uczę cichego zamykania drzwi i nauczyć nie mogę. Czasem już zamknie je dobrze, a czasem, traf! jak palnie, cała bateria elektryczna w nerwy mi uderza i podskakuję na krześle. W porach dobrych nie zwracam na to uwagi, albo nawet i śmieję się z tego, ale w złych sprawia mi to prawdziwe udręczenie. Przytem, ma on, gdy mówi, jakiś grymas w ustach zupełnie nieładny i którego widok sprawia mi przykrość wprost dlatego, że jest nieładnym. Już kilka razy chciałem był go odprawić za te drzwi i za ten grymas, bo nic innego do zarzucenia mu nie miałem, ale biedak to był, liczną rodziną obarczony, niezbyt młody, zdejmował mię żal nad nim i nie odprawiałem. Wtedy jednak, przy tem śniadaniu, gdy parę razy drzwi nie dość cicho zamknął, pomyślałem, że stanowczo odprawię. Może mu dam w kształcie zapomogi całoroczną pensję, może mu syna u jakiego rzemieślnika ulokuję, ale odprawię i nowoprzyjmowanego dobrze wyegzaminuję, czy drzwi cicho zamyka i czy w powierzchowności nie ma czegoś przykrego dla oka. Co robić po śniadaniu? Nad zagadnieniem tem rozmyślałem czas jakiś, przechadzając się po saloniku i ważąc w głowie różne pomysły, które z niesmakiem odrzucałem. Ani iść dokądkolwiek, ani grać, ani poezji, ani filozofji, ani gazet. Wszystko nudne i do niczego ochoty nie ma. Stan ten przejdzie niezawodnie dziś, jutro, za parę godzin, za parę tygodni, ale dopóki trwa jest niewysłowienie ciężkim. Jedynym przeciw niemu sposobem jest zabić czas jego trwania haszyszem, mającym najszlachetniejszą pod słońcem postać – książki.

Jest bowiem na świecie książka-chleb, książka-skrzydło, książka-wino, książka-haszysz... Wziąłem z biblioteczki powieść Pawła Fevala – niestety, mój drogi, jestem z tych, za których młodości bardzo czytywano Pawła Fevala – i leżąc na otomanie, paląc cygaro, czytając jakieś *Belles des jours'y*, czy *Belles des nuits'y*, szczęśliwie zabiłem godzin parę, gdy nadeszło kilku przyjaciół. Nie osobiście rad im byłem w tej chwili, bo rozmawiać leniłem się tak samo jak iść dokądkolwiek, grać, albo czytać coś innego jak *Belles des jours'y*. Zaczęliśmy jednak gawędzić i wkrótce odkryłem, że Józio i Leon znajdowali się w humorze bardzo podobnym do mojego. Jak mnie sprawa serwitutowa, tak im inne okoliczności jakieś życie zatręły. Szczególniej Józio był bardzo kwaśny i bardzo prędko sprowadził rozmowę na fałszywe podstawy i złe uregulowanie stosunków rodzinnych. Wiedziałem dobrze co to znaczy i z kąd pochodzi. Papa – mecenas za zbyt wielkie wydatki wygderał. Leona znowu napadały od czasu do czasu paroksyzmy erotycznych marzeń i tęsknot, które mu wszystkie na ziemi kobiety, wobec wymarzonego ideału, na murzynki przerabiały. Malował je wtedy tak na czarno, że nie pozostawała im nawet białosc zębów, którą błyszczą murzynki. Powiedziałem mu to śmiejąc się; odpowiedział, że istotnie u chłopek tylko znaleźć można zęby białe i – własne, w naszej zaś sferze kobiety mają sztuczne zęby, włosy i – duszę. Zawiązała się pomiędzy nami najprzód o rodzinie, potem o kobietach, potem w ogólności o ludziach i życiu rozmowa dość ożywiona i napełniona nutami zupełnie minorowymi. Mieliśmy wiele rzeczy do zarzucenia pierwszej i drugim, cytowaliśmy przykłady z życia ujemnie o nich świadczące i nieprzychylne im zdania wielu autorów.

Józio dość długo mówił o dziełach Lubock'a i Wallace'a, opisujących pochodzenie i historyczne ewolucje ustaw rodzinnych, a przede wszystkim praw ojcowskich; Leon przytoczył parę zgryźliwych aforizmów Szoppenhauera o kobietach i kilka ustępów z molierowskiej komedji *L'ecole des femmes*, czy coś podobnego. Byliśmy wogóle zgryźliwi i krytykowaliśmy wszystko, cokolwiek na myśl nam przychodziło. Dym naszych cygar był mniej gryzącym od tego pieprzyku, niewiadomego dla nas samych pochodzenia, którym tajemne pokłady dusz naszych zaprawione były.

Rozmowa ożywiła się i z kolei ustawała; wtedy siedzieliśmy zasępieni na fotelach najczystszej stylu Ludwika XV i chmurnymi oczyma wodziliśmy po ścianach ozdobionych akwarelami i rysunkami zupełnie godnymi widzenia, ale których widok wcale nas nie pocieszał.

Po jednej z takich pauz Józio wyraził życzenie założenia wielkiego dziennika politycznego.

– Obudziłoby to we mnie interes do życia, przywróciłoby mu urok – rzekł.

Wiedziałem dawno, że ten dziennik był konikiem, na którego wsiadał, ilekroć życie wydawało mu się żółtym.

Uczuwał w sobie zdolności publicystyczne, posiadał je rzeczywiście i nawet, *par çì, par là*, pisywał do gazet.

Gdyby miał swoją gazetę, pisałby systematycznie i z zapalem. Projektowi temu nic właściwie na przeszkodzie nie stawało, bo papa mecenas, człek niezmiernie ceniący pracę, literaturę, dobro społeczne i t. d., nietylko nie odmawiał funduszków na to potrzebnych, ale rad byłby, kosztem choćby największym, wkupić syna do pracy, literatury, zasługi publicznej i t. d. Ale Józio był jak fajerwerk: zapalał się i gasł. Dziś zakładał swój dziennik, jutro go już nie zakładał, bo interes i urok życia znalazł gdzieindziej. Lękał się przytem, jak sam powiadał, niewoli. Wiedział, że taka robota, to wóz, który codzień ciągnąć trzeba, a cóż będzie, jeżeli którego dnia zabraknie ochoty do ciągnięcia? Wówczas niewola, albo znaczne straty materialne i moralne.

Ja go przytem chwiałem w postanowieniu, dowodząc, że nie politycznego dziennika nam potrzeba, ale takiego, któryby, zajmując się wyłącznie literaturą i sztukami pięknymi, kształcił smak estetyczny publiczności naszej, w stanie prawie barbarzyńskim pogrążonej. Do stworzenia i prowadzenia takiego dziennika sam należałbym chętnie, bo najprzód, o pierwszorzędnej potrzebie jego byłem szczerze przekonany, a potem, ilekroć rozmawialiśmy o tym przedmiocie, oczami duszy widziałem szufladę biórka, w której spoczywał pewien przed rokiem przeszło rozpoczęty przekład bajronowskiego *Kaina*. W takim dzienniku, o jakim mówiłem, wydrukowałbym ten swój przekład i byłoby mi to najpewniej bodźcem do dalszej pracy w tym kierunku.

Leon znowu był innego zdania. Utrzymywał on, że pieniądze wydawane na zakładanie dzienników, są pieniędzmi wyrzuconymi przez okno, bo tych szpargałów drukowanych jest już liczba zbyt duża, a czego naprawdę nie ma – to świątyni sztuki. Wstydem powinno być dla społeczeństwa, że jego dzieła sztuki waleśać się muszą po wynajmowanych domach, nie posiadając przybytku własnego i odpowiednio urządzonego. Leon marzył kolosalnie, pragnąc w jednym gmachu umieścić malarstwo, rzeźbę, muzykę, dramat i teorie estetyczne. Takie sale dla obrazów i rzeźb, takie dla koncertów, takie dla teatrów amatorskich, takie jeszcze dla odczytów, wyłącznie estetyce poświęconych.

Gdyby naprawdę zabierano się do wznoszenia takiego gmachu, on nietylko pieniędzmi, ale osobistą pracą przyczyniłby się do tego dzieła, odżyłby, odrodził się, odmłodził.

Mówiąc o tem, zerwał się z fotela i od zapału szybko chodzić zaczął po saloniku.

Szkoda, że nie było pomiędzy nami Stasia, który znowu nosił się od dość dawna z marzeniem o takim gmachu, w którym, ze wszelkimi wymysłami, zmieściłby się mogły sale gimnastyczne, fechtunkowe i maneż dla konnej jazdy. Ale i we trzech sprzeczailiśmy się dobrą godzinę o to, co najpotrzebniejsze i najpilniejsze, a potem spokojniej już rozbieraliśmy kwestję wielkich kosztów i ogromnych trudów, do wszystkich trzech przedsięwzięć przywiązanych.

Koszta jak koszta, byliśmy pewni, że poniesienie ich sprawiłoby nam rozkosz, jakkolwiek dla mnie i dla Leona względną, bo nie mając tak jak Józio papy bardzo bogatego i który nie przestawał jeszcze stawać się coraz bogatszym, posiadaliśmy akurat tyle dochodów, ile ich skromne potrzeby nasze wymagały, a wszelka z nich ujma na cel nieosobisty, byłaby dla nas ofiarą ciężką. Ale ta ofiara była rzeczą podrzędną wobec konieczności zaprzęgnięcia się do wozu. Ta to właściwie konieczność paraliżowała nasze najlepsze chęci i myśl o niej była chińskim murem, wznoszącym się pomiędzy nami a początkiem wykonania naszych pragnień i zamiarów.

Że też to człowiek zawsze, w najszlachetniejszych nawet dążeniach swoich, musi uderzać się głową o ścianę! Może ta ściana wznosić się na zewnątrz niego, lub w nim samym, wszystko jedno: jest zawsze czemś, co przeszkadza i boli. Mogę sobie gorzko wyrzucać, że jestem takim, nie innym; nie zaradzi to temu, że jestem takim, a tylko doleje mi do duszy jedną więcej kroplę goryczy. Po cóż więc w człowieku te sprzeczności potrzeb i chęci, a raczej ta ich wszechstronność, która wszechstronnego zadowolenia żadną miarą osiągnąć nie może? Pragnę tego i tamtego; jeżeli zachowam to, tamtego nie otrzymam; jeżeli tamto posiędę, to utracę. Są ludzie – Staś na przykład, ten najszczerzej z nas wszystkich wesóły Staś, którzy nie mają w sobie takich dysonansów, wszystko biorą ze strony dobrej, żyją prosto z dnia na dzień i ani myślą, że za granicami ich przyjemnego, letniego życia, jest życie inne, górne i gorące. Oni nie doświadczają tego braku uczucia szczęścia, które niby jest niczem, bo tylko próżnią w jednej stronie duszy położoną, lecz przez którą od czasu do czasu wylewa się z duszy cała jej radość. Ale są to natury uboższe, mniejszymi zdolnościami serca i głowy obdarzone i takie tylko osiągają spokój i harmonję. Znowu więc dysonans. Dlatego, że natura stworzyła cię wyższym duchowo, musisz więcej cierpieć. Dlatego, że nie jesteś grubą gliną, ale subtelną porcelaną, mieści się w tobie alembik do warzenia trucizn!

W takich mniej więcej myślach pogrążony, zapomniałem o gościach, którzy również zatopieni w dumaniu milczeli, i o cygarze, które zagasło, gdy Józio, powstając i biorąc kapelusz, przemówił:

– Dobrze powiedział ów rzemieślnik niemiecki, który całe Niemcy wszerz i wzdłuż obszedłszy, powiedział: że Pan Bóg przez sześć dni świat stworzył, to wiadomo, ale widać też, że stworzył go naprędce...

– Żeby też choć drogi, które człowiek chadzać ma, wyraźniej były narysowanemi! – zauważyłem, a Leon dodał:

– Miałbym też do zarzucenia, że zamiast Ewy niepowstała z kości adamowej Marguéríta Gautier... jedyna kobieta w świecie i literaturze, która kochać umiała.

To rzekłszy, zamyślił się znowu, stojąc z kapeluszami w ręku, bo i ja po swój machinalnie sięgnąłem.

Nakoniec Józio, z odpowiednim ruchem ręki, rzekł:

– Marne życie!

– Podle życie! – poprawił Leon, a mógłbym zareczyć, że myślał o miłej Mimi z choreografii, która przed rokiem dla jednego z naszych nababów puściła go w trąbę, i o ślicznej pannie Kierwiczównie, w której już, już kochać się zaczynał, gdy zauważył, że ma ona, względnie do szerokości dłoni, nieproporcjonalnie długie palce i to go do niej zupełnie rozczarowało.

Jam życiu nie zbluźnił dlatego tylko, że rozśmieszyły mię ich bluźnierstwa. Więc postępując ku drzwiom i głosem takim, jakim heroldowie rzymscy wołać musieli: „Kajus Flawjusz umarł! Kwiryaci, idźcie na pogrzeb Kajusa Flawjusza!” – zawołałem:

– Chodźmy na obiad! przyjaciele! trzeba jednak jadać obiady!

Salę restauracyjną mieliśmy już i podówczas bardzo przyzwoicie urządzoną. Jej rzęsiste oświetlenie, gwar, atmosfera i gorąco prawie piekielne, znacznie nas ożywiły i podnieciły. Siedzieliśmy we trzech przy stoliku, jak w rozpalonym piecu, wdychaliśmy żar połączony z wyziewami gazu, spirytualji, mięsów, sosów i – robiło się nam coraz lepiej.

Było to podniecenie nerwów, nic więcej, ale po doświadczonej przez dzień cały ich depresji, bardzo przyjemne. W dodatku, jakby ku podniesieniu naszego ducha przez samą Opatrzność zesłana, przy pobliskim stoliku zasiadła jakaś rodzina mamutowców, złożona z mamy, papy i dwóch dorosłych córeczek. Dość było raz na nich spojrzeć, aby odgadnąć, że siedlisko ich znajduje się pod stopniem geograficznym od naszego znacznie oddalonym. Te panie miały na głowach kapelusze świeżuteńko w jednym z tutejszych magazynów kupione, ale do twarzy i koafiur dobrane jak najniezwyklej, rozmawiały głośno, rozglądały się po sali i w podziwie nad jej świetnością o jedzeniu zapominały. Papa zapytał raz kelnera czy nie można jakiego lufcika otworzyć, bo taki upał, że aż poty na człowieka wybijają, a drugi raz, trochę nieśmiało, poprosił o wytłómaczenie, co to za takie jedzenie: *vol au vent*? Mieliśmy spektakl i nicowaliśmy sobie pocichu miny, ubiory, zapytania, wykrzykniki mamutowców, gdy Józio, nachylając się do mnie, z przestraszonym wyrazem twarzy szepnął:

– Noże połykają! *Comme j'aime papa!* Noże bez śladu połykają, a widelcami gardzą całkowicie!

Spojrzałem ku nim właśnie w chwili, gdy papa wielki kawał sztuki mięsa, razem z połową noża do ust pakował. Jednocześnie mama i córeczki sos i jarzyny również nożami palantowały. Parsknęliśmy śmiechem, naturalnie pocichu, ale Józio zaraz spowaźniał.

– Już nie będę... bo rozgniewasz się znowu...

– Ja? za co?

– A wczoraj?

– To prawda, potwierdził Leon, dałeś nam wczoraj dobrą odprawę...

– Ale bo to rzeczywiście co innego – serjo ciągnął Józio; byliśmy wczoraj rzeczywiście niesprawiedliwi.

– Panna Zdrojowska jest może trochę... oryginalną, ale ma w sobie dużo wdzięku...

– I dźwięku... – wtrącił Leon.

– Mniejsza o dźwięk, ale ze wszech miar nie powinniśmy się byli o niej tak wyrażać i Zdzisław miał rację.

Zdzisław Granowski milczał, bo stała się z nim rzecz szczególna. Od wczorajszego zaśnięcia, przed którym trochę o niej myślałem, panna Zdrojowska ani razu na pamięć mi nie przyszła przez dzień cały, zapominałem był o niej tak zupełnie, jak gdybym nigdy nie wiedział o jej istnieniu. Przypisać to można kłopotom i przykrościom dnia tego. Przytem, kiedy się codzień widuje i poznaje mnóstwo osób... Za to przy pierwszym wymówieniu przez Józia jej nazwiska, przypomniałem ją sobie caluteńką, ale tak caluteńką, że ze wszystkimi szczegółami, od antydiluwjalnej sukni i staroświeckiej broszy mozaikowej, do ust koralowych i oczu szafirowych, uważnie i poważnie we mnie utkwionych. Zobaczyłem ją jak żywą i ucieszyłem się jak dziecko. Zdawać się mogło, że tego tylko brakowało mi do szczęścia, abym ją znał i aby ona znajdowała się w pobliżu. Pomimo wesołego żartowania z mamutowców, czułem się być ciągle zamarłym. Teraz roztajałem, uczułem nieokreśloną nadzieję i taką ciekawość, jak gdyby kto w myśli po wielokroć pisał mi zapytania:

Kto ona? jaka ona? co to będzie? co z tego będzie?

Może nie uwierzysz temu, mój kochany, ale dalibóg nie kłamię, że nawet serce kilka razy silniej mi uderzyło, przy prawie zupełnie bezświadomem myśleniu: coś nowego, coś nowego!

Tymczasem Józio opowiadał, że Staś w południowych godzinach zanosił mojej kuzynce Idalji jakąś przyrzeczoną książkę, czy coś takiego, ale panny Zdrojowskiej nie widział, bo wyszła z domu za interesami.

– Jakto z domu? więc mieszka u Idalki?

– A tak. Zamieszkała była zrazu w hotelu, ale pani Idalja przemocą prawie wzięła ją do siebie, bo pomimo wszystko, bardzo ją lubi...

– Pomimo co? – zapytałem.

– Tak... widzisz... – z zakłopotaniem jąkał Józio, ale nie wytrzymał i zaśmiał się.

– Mój kochany, przepraszam cię, ale chociażby pomimo du-du!

Humor mój stał się tak dobrym, że nietylko nie rozgniewałem się, ale sam zaśmiałem się na to wspomnienie. Bardzo dobre wrażenie sprawiła na mnie wiadomość, że panna Zdrojowska mieszka u Idalki, bardzo dobre...

Ta Idalka jest wogóle kobietą sympatyczną. Pójdę jutro do niej najpewniej.

Przy końcu obiadu byłem tak rozweselony, że rozchmurzyłem do reszty swoich towarzyszków, którzy też zrobili zaraz projekt, aby razem pójść gdziekolwiek, do teatru, resursy, albo do Stefana na partję pikiety. Na to nie przystałem. Nie chciało mi się jakoś tego wszystkiego i wolałem spędzić wieczór w domu.

Poszli więc w swoją stronę, a ja poszedłem w swoją, ale usposobienie moje uległo wkrótce nowej zmianie. Jedną z plag, które dręczyły mnie w owej porze, była niezmierna zmienność usposobień. Byle co sprawiło mi uciechę lub zmartwienie, psuło albo poprawiało humor. Często nawet nie mógłbym wcale określić co właściwie przewróciło mi duszę na złą lub na dobrą stronę; jakieś nic, może gra świateł w przestrzeni, może o pół stopnia Réaumura opadająca lub podnosząca się temperatura. Uwaga tego nie pochwyciła, ale odbiły w sobie zmysły do najwyższej wrażliwości doprowadzone i refleksem przesłały duszy, która przy najlżejszem dotknięciu gotowa była koziołka przewrócić.

Jakkolwiekby wróciłem do domu już nie wesoły, ani też w złym humorze, ale pod wpływem nieokreślonej tęsknoty. Wolałem o wiele to, niż uprzednie odrętwienie, bo przynajmniej żyłem i czegoś pragnąłem, choć nie umiałbym powiedzieć ani sobie, ani komu, czego. Nic to nie znaczy, że człowiek nie wie napewno zaczem tęskni, jednak tęskni i noszenie tej tęsknoty wzdłuż i szerz pokoju, a także zastanawianie się nad możliwymi jej przyczynami, jest sposobem przepędzania czasu nie gorszym od wielu innych, a niekiedy doprowadzającym do następstw zupełnie poważnych. Tego wieczoru naprzykład, po długiej przechadzce wzdłuż i wszerz saloniku, uczułem nieprzewycięzoną ochotę przelania na papier nieokreślonej swojej tęsknoty i napisałem do siostry list długi, który ona, jak wszystkie zresztą listy swego brata, będącego zarazem jej wychowawcą, pieśczochem i ideałem, wziąć musiała za arcydzieło fenomenalnie szlachetnego stylu i serca. Nie zadowolniło to wszakże mojej werwy. Do trzeciej godziny po północy pracowałem jeszcze nad przekładem *Kaina*. Nazajutrz w południe byłem już u Idalki. Nie anonsowałem się tu nigdy, nie pytałem nawet czy pani w domu, bo gdy nie była w domu wchodziłem także i czekałem jej powrotu, jeżeli miałem do tego ochotę. Pokrewieński i zażyły stosunek od dzieciństwa. Nieanonsowany wszedłem do salonu, który był zupełnie pusty i natychmiast usłyszałem dochodzące tu głośnie i aż zanoszące się śmiechy kobiece. Za buduarą tak jak i salon pustym i za zamkniętymi drzwiami do dalszych pokoi, rozlegały się te śmiechy, niewyraźnymi słowami przeplatane, serdeczne, nieustanne. Było ich tam trzy, tych śmiejących się: jedna Idalka, ale kto drugi i trzeci? I z czego one śmiały się tak szalenie?

Zaledwie miałem czas to pomyśleć, gdy drzwi od dalszych pokoi otworzyły się z gwałtownością nadzwyczajną i do buduaru wbiegła, raczej wpadła panna Zdrojowska, z głośnem i przerywanem od śmiechu wołaniem: „Nie chcę! nie chcę! Za nic! Nie zrobicie ze mnie czupiradła!”

Za nią Idalka, jedną ręką chwytając ją za suknię, a drugą wstrząsając w powietrzu grzebień i wołając: „Musisz! musisz!”, za Idalką bona z rozpostartą w rękach suknią w wilcze głowy, ze śmiechem i krzykiem: „*Essayez, Mademoiselle! Ce n'est que pour essayer! Vous allez voir conime c'est joli!*” Za boną filarek Idalki czteroletni, skaczący, zanoszący się od śmiechu i przeraźliwie wrzeszczący: „Ciupiradło! Ciupiradło! Ciocia Sewelka będzie ciupiradło!” Nagle spostrzegłszy mnie stojącego z kapeluszem w ręku pośrodku salonu, najpocieszniej w świecie stłoczyły się z przerażenia we drzwiach, znieruchomiały i oniemiały, tylko filarek wydał na mój widok pisk radości, przypadł do mnie z rozpostartymi ramionami i usiłując mną okręcić, w niebogłose wrzeszczał:

– Ciocia Sewelka psiebrała mamę za siebie, a mama chce ciocię Sewelkę psiebrać za siebie, ale ciocia Sewelka nie pozwala i mówi, że będzie ciupiradło!

Spojrzenia moje i Idalki spotkały się i oboje parsknęliśmy śmiechem. Bo też i wyglądała!

Miała na sobie suknię, zapewne do panny Zdrojowskiej należąca, ciemną, z długim stanikiem, fałdami regularnymi i swobodnymi, do ziemi spadającą, nikielne białe koroneczki u rąk i szyi i włosy gładziuteńko uczesane, z warkoczem u wierzchu głowy zwiniętym. Zdaje się nic, tylko zmiana ubioru, a z szykownej damy zrobiła się zmokła kurka. Przebrana za ciocię „Sewelkę”, Idalka wyglądała poprostu śmiesznie. Śmiejąc się też, podała mi rękę na powitanie i zaraz trzepać zaczęła.

– Widzisz, Zdzisiu, jakiej niesprawiedliwości ofiarą jestem! Kłóciłyśmy się dziś cały ranek z Sewerką o sposób ubierania się, aż napała się ubrać mnie po swojemu i gdy już to uczyniła, za nic zgodzić się nie chce, abym ja ją także po swojemu ubrała. Cośmy się nad nią z panną Klarą napracowały, namęczyły... Wysuwa się nam z rąk jak piskorz i jeszcze mówi, że nie da z siebie robić czupiradła! Bądź, Zdzisiu, sędzią naszym! Powiedz, czy my jesteśmy czupiradła? Czy ja jestem czupiradło? Czy kobieta, ubierająca się u Hersego, może być czupiradłem?

W czasie tego potoku słów panna Zdrojowska, przez krótką chwilę zmieszana, znowu śmiać się zaczęła, a ja, przedtem już powitawszy ją głębokim ukłonem, na tłumne zapytania Idalki, z zupełną powagą do niej się zwróciłem:

– Wezwany na sędziego, wyrazić muszę zdanie, że pani popełniła zbrodnię – obrazy majestatu.

– Jakiego majestatu? – zapytała patrząc mi prosto w twarz rozbłyśniętymi jeszcze od śmiechu oczyma.

– Mody – odpowiedziałem.

Przecząco wstrząsnęła głową.

– Tego majestatu nie uznaję, najprzód dlatego, że co roku spada z tronu...

– *Le roi est mort, vive le roi!* – przerwałem.

– A potem dlatego, że ludzi ucywilizowanych przerabia na dzikich...

– A to coś zupełnie nowego!

– Jakim sposobem dopełnia tej metamorfozy?

– Takim, że kobieta modnie ubrana jest czasem jak kropla do kropli podobną do zuluski...

– Jezus, Marja! – syknąłem z przerażeniem.

– Ja cię dziś chyba wybije, Sewerko – zawołała Idalka, wstrząsając białymi piąstkami.

– A ja, w charakterze sędziego, proszę o dowody!

– Zaraz!

Poskoczyła do buduaru. Miała w ruchach żywość młodego dziewczęcia, a ubiór, ten sam co zawczoraj, może też i charakter twarzy czyniły ją zawsze podobną do portretu młodej damy z innej epoki.

W mgnieniu oka powróciła, niosąc jedną z wielkich, od pozłot błyszczących książek, które buduar przyozdabiały. Złożyła ciężar ten na stole, przy którym staliśmy wszyscy troje (bona i filarek ze sceny świata usunęli się już w zacisze domowe) i pochylona nad księgą, karty jej spiesznie przewracać zaczęła.

– Podróż po Afryce – mówiła – są tu pierwowzory... majestatu. Zaraz, zaraz! Oto są... zuluski! Widzisz, Idalko, jakie u nich włosy... z tyłu głowy wydęte, na wierzchu zjeżone... A ta?

Czy to ubranie nie spowija jej nóg tak ciasno... ciasno?... Ale jest tu jeszcze jedna ilustracja, najpodobniejsza... zaraz znajdę...

I szukała, znajdowała, pokazywała, czyniąc porównania najzabawniejsze przez to, że istotnie były dość trafne i przez to także, że ona to właśnie, ta dzika, nas do dzikich porównywała. Bawiło to mnie ogromnie, a przytem ile razy spojrziałem na Idalkę, od śmiechu powstrzymać się nie mogłem. W nowej swojej postaci miała pozór jakiś złapany, zmokły, zupełnie nieszczęśliwy.

– Tobie jednak, Idalko – odezwałem się żartobliwie – radziłbym jak najprędzej stać się nanowo... zuluską.

– Dlaczego? – podnosząc z nad książki głowę zapytała panna Zdrojowska.

– Bo w tym samym stroju pani sprawia wrażenie artystyczne, a kuzynka moja zabawne...

– Dlaczego? – powtórzyła.

Zamyśliłem się nad przyczynami tej różnicy, których sam nie rozumiałem, a gdy podniosłem oczy, spotkały się one z oczami panny Zdrojowskiej, która spoważniała i już bez cienia uprzedniej wesołości patrzyła na mnie z taką uwagą, że o mało nie dotknąłem głowy, aby przekonać się, czy rogi na niej nie wyrosły. Ona dowodzi, że nasze panie robią się czasem podobnymi do dzikich, ale jeżeli to uparte i przenikliwe wpatrywanie się w mało znanych ludzi, nie jest dzikiem, *que le diable m'emporte!* Nagle, z żywym poruszeniem wyciągnęła ku mnie rękę i prędko wymówiła:

– Może Idalka powie znowu, że popełniam niestosowność... ale doprawdy, muszę koniecznie panu podziękować...

Przyjąłem podaną mi rączkę, niebardzo białą, owszem śniadawą, ale długą i giętką, poczułem uścisk jej wyraźnie serdeczny i bez granic zdumiony, z głębokim ukłonem rzekłem:

– Los jest wielkim sprawcą niespodzianek... tę przyjmuję z wdzięcznością, jednak, chciałbym wiedzieć...

– Sewerko! jakże można! Któż okazuje, że wie o takich rzeczach! Boże! Boże! co ta dziewczyna wyrabia! – łamiąc ręce wołała Idalka.

– Moja Idalko, każdy ma prawo być szczerym... własnym kosztem – odparła panna Zdrojowska. Już wiem o tem, że tu za szczerłość płacić trzeba, ale ty wiesz także, że się tego nie lękam.

– O Boże! wiem! wiem! – jęczała Idalka.

– Łaskawe panie – przemówiłem – nie mogę powiedzieć, że jestem na niemieckim kazaniu, bo umiem po niemiecku. Racście panie oświecić mię, w jakim języku toczy się rozmowa...

Idalka trochę z gniewem, trochę ze śmiechem, opowiedziała, że wczoraj, ten szalenciec Staś, przyniósłszy jej jakąś książkę, której żądała, od **a** do **z** wypaplał przed nią całą naszą rozmowę w restauracji, a ona znowu, od **a** do **z** powtórzyła ją panie Zdrojowskiej, w kształcie lekcji, dla pokazania: co to jest nie zachowywać się w świecie tak jak wszyscy.

– I wyobraź sobie, mój drogi, ona zamiast zmartwić się żartami, na które pozwolili sobie ci panowie, była bardzo ucieszoną tem, że ty szlachetnie postąpiłeś. Teraz ci jeszcze za szlachetność podziękowała. Masz i graj dalej samodzielnie rolę bohatera, bo ja uciekam, aby się przebrać. W tem ubraniu co chwilę chcę ukłonić się samej sobie i zapytać: „Z kim mam przyjemność?”...

Spojrziała jeszcze w zwierciadło i zniknęła za zamkniętymi drzwiami tych pokojów, w których mieściło się zacisze domowe. Panna Zdrojowska stała z rękami splecionymi i opartymi o stół, ze spuszczonej oczyma. Zbliżyłem się do niej.

– *L'appetit vient en mangeant* – rzekłem – obdarzony jedną niezasłużoną łaską, śmiem prosić o drugą.

Podniosła na mnie wzrok pytający.

– Przecież jesteśmy krewnymi – mówiłem – nie wiem, doprawdy, czy blizkimi, lub dalekimi, ale zanim to na drzewie genealogicznym sprawdzonem zostanie, niechaj mi wolno będzie nazywać panią kuzynką i tenże tytuł z ust pani otrzymywać.

– Owszem, będzie mi to bardzo przyjemnem – uprzejmie odpowiedziała.

– Kuzynka bardzo ceni pokrewieństwo?

– Tak.

– Czy można wiedzieć: dlaczego?

– To bardzo proste. Dają one ludziom pretekst do życzliwego zbliżania się, a na świecie, każdy nawet pretekst do tego dobry.

Usiedliśmy na fotelach obok siebie stojących.

– Znajdujesz więc, kuzynko, że ludzie względem siebie na zbyt wielkich odległościach są umieszczeni?

– Najpewniej – odpowiedziała i oczy jej błysnęły. Znajduję, że większa doza wzajemnej życzliwości wszystkim na świecie wyszłaby na korzyść, ale są wypadki, w których ludzi łączyć powinna nie tylko życzliwość, ale najściślejza jedność.

Ożywiła się ogromnie i mówiła z takim akcentem przekonania, że mnie ogarnęła ciekawość o czym właściwie mówi.

– Jakie to wypadki? – zapytałem.

Po twarzy jej przeniknął znowu ten wyraz zdziwienia, który głównie zwrócił zawczoraj na nią moją uwagę.

– Nie wiesz, kuzynie?

Uderzyłem się w czoło. Ach, tak! Ale któż na świecie może ciągle pamiętać o takich rzeczach! Pedantka! pomyślałem, a jednocześnie jakiś drugi człowiek pomyślał w mojej głowie: „Marna jednak figura ze mnie!”

– Obawiam się – rzekłem – że sąd twój, kuzynko, wypadnie dla nas ujemnie.

Zmieszła się trochę.

Przekonałem się z popełnionych omyłek, że zupełnie jeszcze nie umiem wydawać trafnych sądów.

Zawahałem się chwilę, a potem, pochylając się nieco i patrząc w szafirowe jej gwiazdy, zcicha wymówiłem:

– Naprzykład: Bronek Widzki...

Jak dość często u niej bywało, brwi jej zsunęły się nieco i utworzyły małą zmarszczkę na młodem czole. Wnet jednak uśmiechnęła się i bardzo swobodnie opowiadać zaczęła, z jakim niepokojem i z jakim podniesieniem ducha oczekiwała spotkania się z ludźmi, noszącymi mniej lub więcej głośnie nazwiska, jak wiele od tego spotkania obiecywała sobie korzyści moralnej i umysłowej, z jaką czcią o nich myślała. Wszystko to doprowadziło ją do tego, że jednego z tych ludzi zobaczywszy, zapomniała o wszystkich względach i zażądała być jeszcze przedstawioną.

– Idalka mówi, że popełniłam herezję towarzyską i sama wiem o tem, ale słuszności temu prawidłu towarzyskiemu nie przyznaję. Cóż z tego, że jestem kobietą? Nie czyni mię to wyższą od człowieka nademnie wyższego, bez względu na to, czy jest on kobietą albo mężczyzną.

– Są monarchowie – rzekłem – którzy w każdy wielki czwartek zstępują z tronu i omywiają nogi dwunastu poddanym swoim...

Brwi jej zsunęły się znowu.

– Żartujesz, kuzynie – a po sekundzie milczenia dodała – w ogólności wiele osób żartuje tu ze wszystkiego.

– A najwięcej Bronek Widzki! – przekornie rzuciłem.

Trochę zasepiona, nie odpowiedziała.

– Jednak – szepnąłem – ten Bronek, to bardzo dobry chłopak i – zdolny poeta!

– Pierwszemu wierzę chętnie – z żywością odparła – a drugie sama z całego serca przyznaję. Ale... kiedy się zajmuje w społeczeństwie stanowisko przodujące, kiedy się ściąga na siebie oczy i nadzieje ogółu, nie wystarcza być dobrym chłopcem i nawet zdolnym poetą...

To społeczeństwo, ten ogół drażnić mię zaczynały.

– Widzisz, kuzynko – rzekłem – kiedy to tak przyjemnie brać wszystko z zabawnej strony i żartować sobie potrosze ze wszystkiego... Może życie niczego więcej nie warto!

– O, nie! o, nie! – zawołała z wybuchem tak gorącym i szczerym, że z przyjemnością patrzyłem na żywą grę jej rysów i wielki blask oczu.

Ale uspokoiła się prędko i znowu popatrzyła po swojemu: długo i uważnie.

– Zdaje mi się – rzekła zcicha – że ci, którzy tak myślą, muszą być bardzo nieszczęśliwi...

– A ci – zapytałem – którzy mniemają, że życie warte zachodu, pracy i wszystkiego w tym rodzaju, czy są szczęśliwi?

Zawahała się chwilę, zamyślonemi oczyma patrzyła w przestrzeń, nakoniec odpowiedziała:

– Pod pewnym względem: tak.

Pochylony naprzód, z czołem na dłoni, patrzyłem w twarz jej tak zmienną, jak niebo, na którym chmury zasłaniają, to znowu odsłaniają słońce.

– A smutki?... – mówiłem zwolna... – a błędy? a straty drogich osób?

Pochyliła głowę.

– Straty drogich osób... ach, tak!

Cichy ten wykrzyk wydał mi się mimowolnym westchnieniem serca, które już dużo cierpieć musiało. Zaledwie jednak miałem czas rozrzewnić się tym domysłem, ona podniosła głowę i spokojnie na sukni splatając ręce, z uśmiechem rzekła:

– To prawda; ale jest też w życiu plan jego, który zajmuje, cel, który pociąga, są zasady, na których wesprzeć się można, i obowiązki, których spełnianie pociesza...

Zabiła mię tą nomenklaturą wartości życiowych. Już, już w rozmowie naszej pobrzękiwać zaczynała struna liryczna, już zdawaliśmy się dochodzić do punktu, na którym rozpoczyna się pomiędzy dwojgiem serc zamiana osobistych uczuć i zwierzeń, gdy traf! po społeczeństwie i ogóle nastąpiły: plan i cel życia, zasady, obowiązki! Wyprostowałem się, umilkłem i rozmyślałem: kto to jednak taki? Błękitna pończocha? Nie, bo o książkach nie rozpoczyna i z uczonością się nie popisuje; kandydatka do klasztoru? nie, nie, bo cóżby w takim razie robiły społeczeństwo, ogół, a przytem, oczy i gra rysów w najmniejszym stopniu nie klasztorne. Gaska prowincjonalna? o, nie! Czasem śmiała, aż do zuchwalstwa, i bardzo, bardzo zajmująca. Wprawdzie, czasem też, z jakiegoś zaczarowanego kubka leje człowiekowi na głowę zimną wodę, ale nie jest to taka woda, po jakiej pospolicie pływają gąski! W każdym razie: dzika!

Wtem, zaszleściło, zapachniało, zaszczebiotało; do salonu wbiegła Idalka w zwykłej już swojej postaci. Tak, to *à la bonne heure!* Szlafroczek koloru *saumon* z długim trenem, z przodu od szyi do stóp fale białych muślinów i koronek, na głowie kok, puszcza loczków i wyglądający z nich złoty sztylecik.

– Winszuję ci, Idalko, tej toalety rannej – rzekłem.

– Rzeczywiście jest bardzo ładna – potwierdziła panna Zdrojowska i we wzroku, jakim patrzyła na ubranie Idalki, dostrzegłem prawdziwie kobiecą ciekawość.

– Więc cóż ci przeszkadza zrobić sobie taką samą – zaśmiała się Idalka i poskoczywszy za ręce ją pochwyciła.

– Chcesz? pojedziemy zaraz do Hersego! Dobrze? Zobaczysz, jakie tam cuda w tym rodzaju! Zachęcisz się i nawrócisz! Zdzisiu, pojedziesz z nami? Tyś jedyny do rady, przy wybieraniu strojów! Pojedziesz, Sewerko? moja droga, pojedź! Takbym pragnęła wystroić cię, w świat wprowadzić, na całą zimę tu zatrzymać...

Pocziwa Idalka naprawdę lubiła tę swoją krewnę, z którą podobno wiele czasu spędziła w dzieciństwie i przed zamążpójściem, całowała ją, prosiła, przymilała się do niej tak, że kamień skruszyłyby mogła. Ale panna Zdrojowska, wzajemnie ją całując, odpowiadała:

– Nie mogę, Idalko! jak ciebie kocham, nie mogę! Przecież mówiłam ci, dlaczego...

– At, co ty mi tam mówiłaś!

Obróciła się ku mnie.

– Wyobraź sobie, Zdzisiu, ona mówi, że nie ma za co stroić się...

Ehe! pomyślałem, byłaby herytjerą długów ojcowskich, albo braterskich! Ale Idalka, jakby myśl moją odgadując, ze ślicznymi gestami białych rączek i coraz większym zapalem ciągnęła:

– Ale ty w to ani trochę nie wierz. Ma najmniej dziesięć tysięcy dochodu rocznego, czyściuteńkiego, i będzie miała coraz więcej, bo pan Bohurski doskonale gospodarzy i ona także...

Rozśmieszył mnie ten jakiś pan, który tu wpadł jak Piłat w *credo*.

– Moja Idalko – wtrąciłem – miejże zwyczaj przedstawiać towarzystwu osoby, które do salonu swego wprowadzasz...

– E! mniejsza z tem! to taki sobie pan Bohurski, rządcą jej majątku...

Panna Zdrojowska, której Idalka do słowa przyjąć nie dawała, energicznie wtrąciła teraz:

– Nie jakiś sobie, ale przyjaciel mojego brata...

– Przyjaciel jej brata – powtórzyła Idalka – bo widzisz, Zdzisiu, tam wszystko jest jej brata i majątek także, który jeszcze oprócz do brata... nieżyjącego... należy do ludzi... Przytem, jeszcze jedna przyczyna: ubiera się jak mniszka, z zasady... ale z jakiej, tego ci ja nie powtórzę, bo w mojej głowie takie rzeczy nigdy na długo ulokować się nie mogą, dość, że z zasady. A teraz, proszę was na śniadanie...

Wdzięczny byłem Idalce, że zaprosiła mnie na śniadanie, bo chciało mi się bardzo popatrzeć jeszcze trochę na pannę Zdrojowską. Teraz ona wbiegającemu do salonu Arturkowi drogę z rozpostartymi ramionami zabiegła i z nad ziemi uniósłszy malca, który jak z pistoletu w twarz ją całował, do sali jadalnej go poniosła. Obok niej drobnym krokiem biegła Szwajcarka, w oczy jej zaglądając i w najpoufalszy sposób do niej szczebiocząc. Wszystko to odbyło się z zupełnym brakiem troski o to, że w salonie był obecnym młodzieniec pierwszej wody i choć świeżo przybrany kuzyn, jednak obcy. O usprawiedliwianiu się z zarzutów, uczynionych jej przez Idalkę, ani myślała, cała zajęta, przed zabraniem miejsca przy stole, zawiązywaniem serwetki na szyi Arturka i odpowiadaniem Szwajcarce po francuzku. Bardzo chciałem przysłuchać się, jak mówiła po francuzku, ale nie mogłem, bo przeszkadzała mi Idalka, opowiadająca z wielkim ożywieniem o jakimś cudzoziemcu, który od niedawna w mieście naszym gościł. Był to syn jednego z narodów w naszej strefie geograficznej najmniej znanych: rumuńczyk, dalmatczyk, kroat, czy coś podobnego. Ci, którzy już mieli szczęście go oglądać, cuda o nim opowiadali. Miał być bogatym jak Al-Raszid, wysoko urodzonym, przez nieszczęścia po świecie pędzanym; słowem, tysiąc nocy i jedna. Ktoś przyrzekł przedstawić go Idalce i cieszyła się tem jak dziecko. Miała wogóle pasję do poznawania cudzoziemców, a im z dalszych i mniej znanych krain który z nich przybywał, tem bardziej rozpałał jej wyobraźnię i ciekawość. Była to pasja pokrewna mojemu zamiłowaniu do wyrobów chińskich, japońskich, lub z bardzo odległej starożytności odgrzebanych. Pochodzenie też jej pasji i mojego zamiłowania było jednostajnem. *Toujours des perdrix*, w każdym wypadku odbiera apetyt, a egzotyzm jest właśnie tym pieprzykiem, który budzi z odrętwiałości podniebienie, kuropatwami przesycone. Mówiła więc o swoim cudzoziemcu żywo i długo, a ja, jednym uchem jej słuchając, dzieliłem czas na drażnienie się z Arturkiem, ładnym i zabawnym na swoim wysokim krzeselku malcem, i nieznaczne przypatrywanie się pannie Zdrojowskiej, która, choć rodaczka, przedstawiała dla mnie w tej chwili przyjemnie drażniący żywioł egzotyizmu.

Zauważyłem, że opowiadania Idalki o rumunie czy dalmatczyku, zajmowały ją w stopniu bardzo umiarkowanym, czasem kilka słów zamieniła ze szwajcarką, zresztą milczała i tylko parę razy zaśmiała się z conceptów, które Arturk na moje zaczepki odpowiadał, a ilekroć to się zdarzyło, zawsze z za warg szczerze koralowych błysnęły białe, szczerze swoje zęby. Leon nieściśle się wyraził mówiąc wczoraj, że trzeba zejść do chłopiek, aby znaleźć u kobiety zęby białe i własne. Miała wogóle usta, pod względem barwy, rysunku, wyrazu, bez zarzutu, i oprócz oczu, także bardzo pięknych, można było reszty rysów jej nie zauważyć, patrząc na te śliczne usta. Sam spostrzegłem, że z trudnością wzrok od nich odrywam i po raz trzeci podrażniłem Arturka umyślnie dla wywołania ich uśmiechu. Wyciągnąłem rękę i z przed samej buzi usunąłem mu talerzyk z andrutem, pełnym kremu, ale dzieciak ani się skrzywił, tylko najspokojniej łapki na stole składając, przemówił.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.